

TYGODNIK ILLUSTROWANY



IDYLLA JESIENNA

JAN HOLEWIŃSKI

A. GRZYMAŁA-SIEDLECKI:

BUDZISZ.

II.

Ze zwyczajnego hreczkosieja, z przeciętnej partyjnej „użyteczności” staje się Budzisz na gruncie warszawskim—luminarzem. Piszą o nim gazety, liczy się z nim stronnictwo większości narodowej, za męża opatrnościowego uznaje go w parafii i ksiądz proboszcz, i pan Paweł, i Gawęł. Ba! na swoje fixy ideowe proszą go nawet owe mniej lub więcej erotycznie usposobione, warszawskie panie Récamier!

Czem wytłómaczyć ten skok powodzenia w dziejach poczciwego pana Apolinarego Budzisz? Czy tu nie należy szukać niekonsekwencji autora? Czy ten właśnie p. Budzisz, któregośmy znali w pierwszym tomie, ten zahukany trochę szlagon, zdolny jest wyrosnąć w jednego z czterdziestu nieśmiertelnych Akademii politycznej warszawskiej?

Dla mnie, osobiście, to właśnie przeobrażenie w życie Budzisz, ten nie zanalizowany rekord sukcesu jest jednym z głębszych szczegółów w książce p. J. Weysenhoffa. We wszelkim okresie chaosu powodzenie polityczne jest owocem loteryi, nie do robku. I zarówno na gruncie włoskim, czy arabskim, wenezuelskim czy skadynawskim—o ile grunt ten doznaje wstrząśnienia—nigdy niewiadomo, które z ziarn, wrzuconych na chybił-trafił w glebę, wyda najefektowniejszy plon. Jednym ziarnem może być Gladstone, a drugim tylko Budzisz, a jednak ani zgadniesz, który z nich stanie się bohaterem chwili.

Takie bowiem jest prawo anomalii.

Gleba polska wydaje się jednak ponadto taką jeszcze formacją, w której zwycięstwo Budzisz nad Gladstonem będzie wypadkiem dziesięćkroć częstszym, niż na Zachodzie. U nas Budzisz zwyciężył Gladstone'a podolał nawet w okresach t. zw. normalnych. Czem się to dzieje?

Dni polityczne dają na to odpowiedź tylko poczęści. W drugim tomie satyry p. Weysenhoffa widzimy, jak p. Apolinary Budzisz rozpuszcza kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy rubli na cele polityczne. Ktoś złośliwy mógłby go tutaj pomówić, że traci je, by kupić za to zadowolenie swojej ambicji, że łechce go mile estyma, którą go wdzięczna partya obdarza wzamian za subsydy. Złośliwość ta byłaby jednak tylko w połowie drogi do prawdy. Nikt bowiem, najlepszy bilansista impulsów ludzkich, nie potrafi obliczyć, jaki procent próżności wisi na wszelkim dobrym uczynku ludzkim. Pan Apolinary Budzisz lubi, bez wątpienia, gdy o nim dobrze mówią, gdy jeden lub drugi fakt, połączony z jego nazwiskiem, zanotują w gazetach. Od tego rośnie jego fama u żony, u rodziny, u księdza proboszcza, u pana Pawła i Gawła, „w całym Hrubieszowskim” czy „w całym Garwolińskim”. Tak. Ale ponadto w Budziszu tkwi również i szczerzy instynkt obywatelski. On wie, on to ma we krwi, że dobro publiczne wymaga ofiar, i, o ile go stać, nie zawaha się nigdy złożyć swego obola, choćby żywa dusza o tem nie wie-

działa. To jest jedna z legitymacji Budzisz do uznania powszechnego, legitymacja drobna—to prawda—ale istotna.

Poza tem nie zapominajmy o tej scenie z *Dni politycznych*, kiedy Budzisz widzi ciągnący poprzez Nowy-Świat pochód narodowy. Jak wówczas cały ten szlachcic i sumienny, i poczciwy, i trochę przechera, i trochę ambitny—cały ten zbiór zalet i wad zmienia się naraz w jedną wielką siłę uczucia; jak, niepomny na dyplomatyczne uwagi towarzyszy, wybiega z salonu na ulicę, chwytając w rękę jedną z powiewających od pieśnianego tchu chorągwi—i idzie z nią naprzód, nie dbający już ani o sławę w swoim powiecie, ani o zaszczyt, ani o swą próżność, dbający tylko o to, by drzewce sztandaru silnie trzymać przy piersi, by znak sztandaru szedł jak najwyżej, jak najwidniej!

Tu, w tej chwili Budzisz przestaje być swoistą jednostką, sumą drobnych zalet i drobnych wad, a staje się bezimienną cząstką jakiejś siły. Siły zdrowej i błogosławionej.

Ta sama siła, która teraz porwuje Budzisz i drzewco sztandarowe ciśnie do jego serca, ta sama siła, dopóki jest zjawiskiem nieomal biologicznym tylko, staje się u podwalin historycznych tym cementem plemiennym, który tysiące i miliony jednostek ulepia w jeden wspólny organizm.

Ta sama siła w dalszym rozwoju dziejowym z instynktu wyrasta w świadomość, i wówczas z tej jednej bezkształtnej masy etnograficznej czyni ona z powrotem tysiące lub miliony nie jednostek, ale tysiące lub miliony *obywateli*. To znaczy: nie tylko tysiąc popędów plemiennych, ale i tysiąc i milion sumień narodowych.

Istnienie danego narodu wtedy dobiega do swego najzdrowszego punktu rozwoju, kiedy już wszyscy jego synowie doszli do uświadomienia obywatelskiego, a ani jeden z nich nie zatracił jeszcze tego ślepego instynktu, tej bezkrytycznej żądy plemiennej. Jest to moment, kiedy naród przestał już być biernym materiałem, a nie stał się jeszcze anarchią intelektualną, kiedy przestał już być np. Francją Merowingów, a nie stał się jeszcze Francją trzeciej Rzeczypospolitej.

Otóż cały ów stopień rozwoju uczuciowego i umysłowego, który tutaj dla krótkości nazwiemy: *Budzisz*, daje mniej więcej obraz skojarzenia tych dwóch właśnie sił, które składają się na węgiel narodowego pionu. Nie możemy nie czuć, że ten Apolinary Budzisz, przy całej swej świadomości obywatelskiej (choćby komizmem podkraszonej), zachowuje nie tkniętą jakby, przechowaną w całej świeżości, zdrową pierwotność narodową. Nie możemy nie czuć, że w takich, jak on, ludziach przeżyje jeszcze długo zmysł istnienia narodowego.

I oto w naszych nienaturalnych warunkach życia zbiorowego, gdzie ten właśnie zmysł istnienia, ta przyrodzona siła musi niejednokrotnie zastąpić szereg organizacji i instytucji normalnego społeczeństwa, w naszych warunkach budziszowa cecha urasta do znaczenia cnoty. Choć wymagamy jej, jako powinności, czcimy ją, jak zasługę, i nie błądzimy. A że w społeczeństwie naszym, jak we wszelkim innym społeczeń-

stwie, które nie dziś dopiero doszło do świadomości narodowej, zaczyna się już ujawniać ten niepokojący, choć podobno naturalny objaw wybujałości obywatelskiej, nadmiaru siły odruchowej w umysłach i w uczuciach, słowem, tego anarchizmu intelektualnego, przeto nic dziwnego, że w naszych wyjątkowych warunkach ten właśnie stan jędrności, ta prostotliwa równowaga duchowości czyni z Budzisz na ruchliwym, a zamglonym gruncie Warszawy rodzaj „waleta świętego” i że ten świętny walet zdolny jest pokryć jakiegoś asa, który przez skromność swoją pozostaje „asem zwyczajnym”.

Ale pozostaje do rozwiązania pytanie wtóre: czy wypadkiem pożytecznym jest, że Budzisz właśnie dorósł do znaczenia jeżeli już nie tuza, to waleta świętego?

Czy nie lepiejby było, gdyby te wszystkie właśnie zalety, któreśmy jak najsprawiedliwiej mu przyznali, pozostawiły go jednak w szeregu waletów, t. j. sług zwykłych? Czy tam, w karnym, skromnym szeregu obywatelskim nie byłoby właściwe miejsce wszelkich Budziszów? I czy wreszcie jego to, Budzisz wina, czy też wina naszej polskiej powszechności, że Budzisz musi się stać luminarzem, a człowiek dzielny, człowiek mądry, jak np. przyjaciel Budzisz, p. Jan Rokszycki, muszą pracować bez ludzkiej pomocy i bez ludzkiego zrozumienia?

Budzisz dochrapia się na gruncie warszawskim rangi luminarza i „tęgiej głowy”. W jego rodzinie to dziedziczne. Wszakże i jego prakrewniak z wieku XVII-go, JPan Zagłoba, dosługuje się godności regimentarza. Jest to wesoła i bolesna prawda w „Potopie”. Zagłoba też powinien pozostać do końca życia przemiłym wesołkiem obozowym, a jednak zostaje wodzem w wyprawie, w której cicho słucha go niejeden duchowy protoplasta pana Jana Rokszyckiego.

Czy Zagłoba temu winien, że go zrobiono regimentarzem? Bynajmniej. Został wodzem z woli większości. Wybrano go dobrowolnie. I, gdyby tam w obozie był inny kontrkandydat, np. jakiś Wallenstein polski, to kto wie, czy i wówczas Zagłoba nie zwyciężyłby Wallensteina?

Zagłoba został na glebie sympaty polskich dlatego wodzem kilkunastu tysięcy rycerskich głów i rąk, że ani charakter, ani umysł Zagłoby nikomu nie *wadził*. Nie miał w sobie rogów i kantów człowieka, skrojonego nie na pospolitą modłę. Każdy z jego podwładnych wiedział, że Zagłoba jest osobistością śmieszna—ale jak tu nie kochać Zagłoby! Zagłoba może przegrać bitwę najsmrotniej, ale Zagłoba nie imponuje niczyjej dumie, z każdym się wyściska, z każdym wypije, każdemu utnie wesołą dykteryjkę. Nie uznanie, lecz sentyment zbiorowy zregimentarzył Zagłobę.

Nie zasługi, nie geniusz, lecz ten błogosławiony los szczęścia, że urodził się człowiekiem przeciętnym na swój czas, na polską szerokość geograficzną, to wyniosło u nas Zagłobę ponad poziom przeciętny.

Kubek w kubek to samo powtórzyło się w wieku XX z panem Apolinarym Budziszem. Ten sam los przeciętności podsuwa mu pewien piedestał warszawski pod



OBRONA DOBRZYŃIA W 1409 r.
Z wystawy starożytności S. Soubise-Bisiera.

Obraz nieznanego autora
(najprawdopodobniej SMOKOWSKIEGO)

nogi i czyni go figurą, znaną nie tylko „w całym Hrubieszowskiem”, ale zapewne w kilku guberniach i w całej „społecznej Warszawie”. I, gdyby z nim wówczas stanął w zapasy jaki Gladstone polski, to znowu kto wie, ileby musiał wycierpieć i pokonać ów Gladstone, zanimby zwyciężył Budzisz i partię Budzisz. Jak w swoim czasie w Zagłobie, tak dziś w Budzisz każdy z wielbicieli czuje jakimś nieznanym zmysłem kawałek samego siebie. Inna rzecz Rokszycy: ten wszystko, co złe, krytykuje, nigdy nie wiadomo, co mu się spodoba; wobec Rokszycy ciągle należy być na straży, by się nie zrobiło czego szkodliwego lub głupiego. A Budzisz taki jest kochany, tak wszystko wyrozumie, tak przebaczy, taki szczęśliwy wynik z najsmutniejszego konfliktu wywróży! I tak się nikt przy nim nie czuje małym!

Gdy już miał tę przyjemność prawdziwą poznania kochanego Budzisz, gdy się w drugim tomie *Dni politycznych* cieszył wraz z nim tą estymą, jaka go otoczyła na bruku warszawskim, wówczas przypomniała mi się rozmowa z jednym z ludzi, patrzących w Polskę całym swoim sumieniem. I niejednokrotnie miałem sposobność przekonać się, że wiele wie o nas. Człowiek ten pewnego razu rzekł mi:

— Naszem nieszczęściem jest, że nigdzie, tak jak u nas, dzieje nie są zawisłe od wielkich ludzi, i nigdzie, tak jak u nas ogół, nie boi się wielkich ludzi.

Budzisz i Budziszów nie boimy się. Dlatego kto wie, co się stanie z całą wielką energią umysłu i czynu pana Jana Rokszycy, kto wie, co by się u nas stało z indywidualnością Gladstone'a.

Z tego też powodu nigdzie tak nie gorzknią ludzie, przeznaczeni przez los, by być Gladstone'ami, Virchow'ami, Haecklami czy Ibsenami. I, mówiąc otwarcie, nigdzie też może nie są tak nieznośni.

Człowiek wyjątkowy, człowiek, wyrastający ponad nas, jest bowiem, zdaje się, prawie zawsze nieznośny, przykry dla nas, tak samo jak my musimy być przykry dla niego. Człowiek wielki i „sympatyczny”, to wyjątek, jak wyjątkiem jest dla uczniaka sympatyczny zawsze nauczyciel. Dopiero po latach, gdy gimnazjum jest dla nas już wspomnieniem, dopiero wówczas godzimy się z charakterem naszych ex-kierowników. Tak samo pokolenie XX wieku godzi się z „przykrym” niegdyś Słowackim.

Wniknijmy teraz pamięcią, ile gorzkich przykrości znieść musiał Słowacki od Zagłobów i Budziszów swojej epoki. Wspomnij-

my żywoty niejednego wielkiego w Polsce imienia. Jednym z najczęstszych zarzutów, jakie u nas przypisują ludziom wyjątkowym, jest t. zw. zarozumiałość. Za tę zarozumiałość karani bywają wszyscy, którzy śmielej dźwigają głowę ponad przepisaną miarę. Przypnać należy, że zarozumiałość jest istotnie przywarą polskiej ponadpospolicości. Często jednak jest ona zwykłą samowiedzą wartości; często wypływa z tego bądź co bądź przykrego faktu, że w rozwoju naszym nie przelewa się od cnót intelektualnych, a najczęściej zarozumiałość wypływa ze zgorzknienia.

Najbardziej zarozumiali są bowiem nie ci ludzie, którzy wiele pożytecznego dokonali, lecz ci, którzy ciągle marzą o czynach i wielkie, coraz większe czyny stwarzają... w marzeniu.

Odsuwając zaś ludzi wyjątkowych od wództwa, karząc ich za to, że nie są „kochani”, skazujemy ich na marzenie, czyli na największy stopień zarozumiałości.

Zwycięstwo Budzisz na gruncie warszawskim, odosobnienie Jana Rokszycy jest to wypadek logicznie polski. Bodajby jak najprędzej stał się nielogicznością. Narazie jest on jedną z najgłębszych konsekwencji tej godnej głębszej uwagi książki, która nosi tytuł: *Dni polityczne*.

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

Z LIRYKÓW

Z VI SERJI POEZJI.

Nieprawdaż? to był tylko sen,
to wszystko się nie stało — —
to szereg był marzonych scen,
to jeszcze życia twego południe,
obudź się — — wszystkie szczyty świecą,
wszystko się słońcem roześpiewało,
a oczy twe, jak kamień w studnię,
w przepaść, w stracenie lecą...

Gdy minął czas,
zabierz twe ciało i duszę wraz,
uciekać w ciche w ustronie — —

będzie się jeszcze promienił świt,
będzie się jeszcze lśnił górski szczyt,
lecz innych wicher owionie...

Zdała od nędz i zgróz,
tortur i mąk
wieczysta cisza śpi;
nad cierpień krąg
Spokój się wzniósł,
jak szczyt, co wzrósł
we mgły...
we wieczny mróz.

WIKTOR GOMULICKI:

2)

Dawne kawiarnie warszawskie.

(ROZDZIAŁ Z „WARSZAWY WCZORAJSZEJ”).

Kilka postaci z tej galerii zapamiętałem. Jedną był eks-zecer, człeczyna chudy, załęczniony, z żółtą twarzą, z obłądnym wzrokiem, z długimi, zwichrzonymi włosami. Przażył lat dziesięć na Syberii, dokąd go wysłano za druki nielegalne podczas powstania. Nosił wyrudziały kapelusz w kształcie ula i długie, zniszczony surdut, z kieszeniami, wypchanymi mnóstwem małych, zadrukowanych papierków. Z nikim nie rozmawiał i, siadłszy w ustronnym kącie, wydobywał ukradkiem owe papierki i ołówkiem pilnie je korygował. Były to poprostu wycinki z gazet. Dość było nań spojrzeć, aby natychmiast papierki niknęły; on zaś sam przybierał w jednej chwili minę obojętną i udawał, że najspokojniej... łapie muchy.

Inny, stale zły, mrukliwy, z każdym szukającym zaczepki, z najeżonym szczecinowym włosiem i żółtą twarzą typowego mizantropa, trzymał zawsze w zanadrzu pieska małego. Do tego pieska przemawiał najczulszym głosem, karmiąc go z ręki okruchami bułki i cukru. W przywiązaniu do niego kupił wszystką moc serca, i było widoczne, że prócz tej psiny nikogo drogiego sobie nie ma na ziemi.

Kim był? skąd przybywał? jakie zawody nieuleczalnie duszę mu zatruły?...

Antytezę tego mruka wyobrażał lekarz-alkoholik, apoplektycznie czerwony, krzykliwie rozprawiający, zawsze gronem pilnych słuchaczy otoczony... Zjawiał się pijany, z głosem ochrypłym, z oczyma krwią nabiegłymi i trzeźwił się kawą czarną, pół-na-pół z arakiem, Wiedzę miał wielką, choć chaotyczną, większy jeszcze zmysł krytyczny. Zjadliwie wyszydzał kolegów swych, nie przebacząc najmniejszemu; potem drwił z całej medycyny i z nauki wogóle, a błysnąwszy olbrzymią erudycją, znajomością obcych krajów, języków i literatury, spluwał i nagle kończył:

— Wszystko to psiego ogona nie warte. Panno! jeszcze „pół z pół”!

Było coś ciemnego w jego przeszłości. Przebąkiwano, że ma żonę, z którą nie żyje, i dzieci kilkoro, zrodzonych podczas jego kilkoletniej podróży na Wschód.

Inny wielki rozprawiacz, również z uwagą słuchany, tem się różnił od poprzedniego, że mówił spokojnie, a słowa płynęły mu z ust, jak woda z odkręconego samowaru. Był przytem bładny, limfatyczny, nigdy się nie unosił i nikogo nie krytykował. Alkoholik w stopniu najwyższym, mógł być miewać napady białej gorączki, lecz nie był już w stanie ulegać umysłowemu podnieceniu. Posiadał nieprzebrane zasoby wiadomości z nauk przyrodniczych; dwa zaś nadewszystko tematy były mu ulubione: sztuczna hodowla kolibrów i balsamowanie trupów.

— W Chicago... eee... — cedził z wolna — założyłem się z profesorem... eee... Smithem, że pęknie, a w niewoli kolibra... eee... nie wychowa. Uparciuch taki... eee... wziął najpospolitszego *trophilusa* i, żeby go... eee... zmanić, porobił z wosku takie kwiaty, jak on lubi, i napełnił je... eee... syropem. Ale kolibrzyna nie głupi; powąchał! ogonkiem kiwnął i... eee... zdechł.

To znów zmienił temat.

— Paryżu... eee... pomagałem doktorowi Cruveillé przy „toaletcie” jednego bankiera. Zachciało się szelmie... eee... ślicznie po śmierci wyglądać. No, i wysłiczniliśmy go... eee... jak się patrzy. Ja wdmuchałem z łajdaka... eee... wszystką krew skrzepłą, a doktor zastrzyknął mu w żyły... eee... spirytusu z karminem... Rumiany był bestya... eee... jak ja-błuszko.

Co tego erudyte, bywalca, doświadczonego praktyka wtrąciło w jałowy mrok nocy warszawskich?...

Jawiam się inni jeszcze... cały korowód przede mną przeciąga... Boże! jakże ich

wielu zwichniętych, wykolejonych, zmarnowanych! Więcej chyba, niż w któremkolwiek innym społeczeństwie. Czyżby tłumaczyły zagadkę dwie cyfry kabalistyczne, które tak często, w poufnych zwierzeniach, z ust im się wyrwywają: sześćdziesiąt jeden i sześćdziesiąt trzy?...

Najsilniej wryła mi się w pamięć postać smutnego grajka, który miał stać się wielkim artystą, a skończył na przygrywaniu „gościom” w piwiarni, już dziś nie istniejącej, „pod Gwiazdą”. Niegdyś może ta pierś wrzała, te oczy ciskały błyskawice, to czoło fałdowało się od myśli wytężonych; gdym go poznał, był — automatem. Nic w nim zresztą nie było z grajka knajpowego, żadnego opuszczenia się, zaniedbania w ubiorze i obejściu. Wykwintny a sztywny, podobny razem do Musseta, do Mirona i Verdiego, lecz od nich wszystkich piękniejszy, miał białą, marmurową twarz, czoło z kości słoniowej i oczy zagaste. Z nikim nie rozmawiał; z kolegą nawet, który jego skrzypcom towarzyszył na fortepianie, porozumiewał się częściej gestem, niż słowem. Ale dusza całkowicie w nim nie zamarała; wkładała ją w grę, a ta gra mówiła o uczuciach subtelnych i wykwintnych, o sercu tkliwym i beznadziejnie smutnym.

Grajek był niegdyś ukochanym uczniem Apolinarego Kątskiego. Miał wielki talent. Czekala go świetna przyszłość: oklaski, wieńce, złoto. Był stworzony do estrady, do rozmarzania eterycznych angielskich *ladies* i masywnych amerykańskich miliarderek. Skończył... jak wyżej.

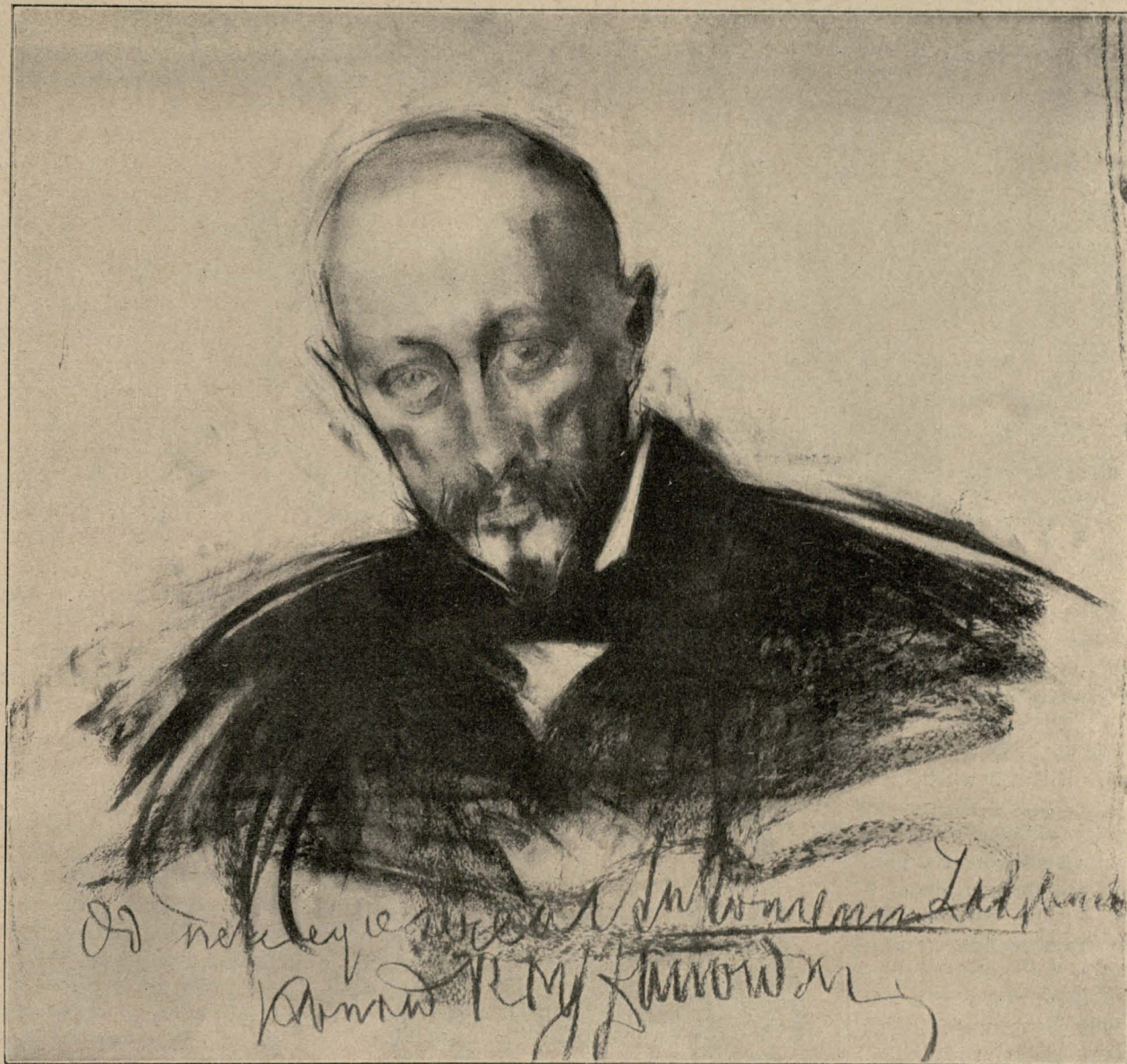
Raz jeden tylko słyszałem tego człowieka śmiejącego się. Sprawcą tego śmiechu był „gość-amator”, człowiek z gęstą miną, wieśniak widocznie i miłośnik muzyki. Poznał i ocenił grę bezimiennego artysty, więc przystąpił doń, uściśnął mu rękę, kazał podać winą butelkę. Trącając się kieliszkiem, z poufałością serdeczną rzekł:

— A gdybyś tak, dobrodzieju, urznął coś



HONORATKA (Ze zbiorów Stanisława Patka)

Malował FELIKS PEĆZARSKI



SZKIC PORTRETOWY Ś. P. ANTONIEGO ZAREMBY

KONRAD KRZYŻANOWSKI

bliższego duszy, ot choćby „Hej tam w karczmie za stołem”, albo „Boże, coś Polskę”, albo „Z dymem”, panie tego...

Wówczas grajek zaczął się śmiać. Był to śmiech osobliwy, z jakim nigdy się jeszcze nie spotykałem. Gdyby umarli mogli się śmiać, takby się niezawodnie śmieli.

Śmiejąc się, odwinął rękawy i mankiety i pokazał wieśniakowi obnażone do połowy ręce. Na każdej znajdowała się, powyżej kostki, głęboka, białawo-siwa blizna, opasująca rękę nakształt bransoletki.

Fortepianista, dobroduszny tłuścioch, pośpieszył z objaśnieniem:

— Kolega był tam... (rękę wysunął w przestrzeń). Potem go wywieźli...

Wieśniak głową pokiwał, posmutniał.

I znów padła między nich kabalistyczna, znamienna cyfra:

— Sześćdziesiąt trzy...

Tamten tymczasem, z trudnością śmiech hamując, schował skrzypce do futerału i niezauważalnie wysunął się z piwiarni.

W kawiarence zjawiał się grajek codziennie o północy. Siadał na pierwszym z brzegu miejscu i, na nikogo nie patrząc, palił papierosa po papierosie i pił „czarną” po „czarnej”. Trwało to kilka godzin. Za pierwszym błyśnięciem brzasku przedporannego—znikał.

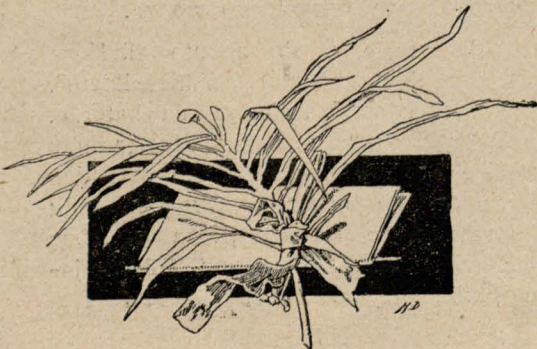
I wszyscy oni znikali przed światłem, jak widziadła Nocy Walpurgowej...

To był romantyzm, poeta mroku, kalejdoskop scen z kolorytem rembrandtowskim. Powszedniość natomiast i proza codziennego życia powlekała szarą barwą innego rodzaju przybytki, które nazywały się „Kawą gospodarską”.

Ostatni rodzaj kwitnął głównie w pobliżu głównych miejskich targowisk, a więc za Żelazną Bramą, na Sewerynowie, przy placu Św. Aleksandra i t. p. Dotąd spotykać go tam można; mało się nawet zmodernizował.

Kawa gospodarska zwiastowała się zwykle światu wystawionemi w oknie babkami i plackami, z kartą, uprzedzającą, że to „ciasto własnego wypieku”.

Takie zakłady odwiedzają głównie „skrzętne gosposie”, chadzające osobiście na targi. Atmosfera jest tam zawsze senna i ciężka; monotonne cykanie zegara przerywają skargi utrudzonych pań, w których bierze udział i otyła właścicielka, zajęta zwykle robotą późnochochy lub cerowaniem.



— Jajek dokupić się nie można, moja pani!...

— A masło, moja pani? Musiałam dać po dwa złote groszy pięć, i to ledwie się doprosiłam!...

— Kaczkę chciałam kupić, moja pani. Maleńka, jak wróbel, i to nie wstydziła się baba cenić pięć złotych!...

— Co to będzie, moja pani? Strach pomyśleć!...

— Bieda i tyle... Niechno moje panie spróbują tej babki. Swojej roboty—dzisiejsza...

Słówko ostatnie—tobie, pani Szóstakowska! dobrodziejo akademickich kieszeni, bez której w pewnym okresie życia nie mógłbym się był rozkoszować aromatem, słodyczą i podniecającą mocą czarnej... cykoryli!

Ty, szlachetna niewiasto, wstydliwie kryłaś swe wdzięki obfite i serca dobroć bezmierną w maleńkiej ciupie, wśród mroków uliczki Koziej, a przecie w porze poobiedniej drogę do ciebie znajdował każdy, komu w kieszeni, zamiast dziesiątki, kołatała się tylko szóstka, czyli „szóstak”. Ten szóstak, za który dawałaś szklanek niewątpliwie czarnego i gorącego płynu, wstawił cię, drogę ci do nieba i do pamięci potomnych utworował, on ciebie także nobilitował, boś przezeń została Szóstakowską, herbu Szóstak, choć nazwisko twe rodowe było inne, nikomu zresztą nie znane i nikomu niepotrzebne.



Piechota liniowa, nauka rekrutów, według książki B. Gembarzewskiego „Wojsko polskie“.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI:

JAN KOZA.

Dla biografa Jan Koza mocno podejrzana jest figurą. Nie można opisu jego żywota rozpocząć od słów „urodził się w dniu...”, zatrzymać się później nad pierwszą miłością, a zakończyć „zgasł...” i t. d., bo ani kiedy, ani gdzie się urodził, ani w kim się kochał, ani kiedy umarł, nie wiemy. Kilka żywych, pełnych koloru słów o Janie Kozie znajdujemy w pamiętniku Jana Bartkowskiego, emigranta i biografa emigrantów, który go spotkał w Londynie w r. 1834. Z nich następujące nieomyślnie wyprowadzamy wnioski: Jan Koza urodził się za czasów Księstwa Warszawskiego, urodził się w polskiej wsi, bo był polskim chłopem i synem chłopca, i do tego czasu już umarł, gdyż taki los spotkał tych wszystkich, którzy się za Księstwa Warszawskiego urodzili.

Czemże się Jan Koza odznaczył, co czynił, że dziś jego imię, niezrozumiałymi dlań znakami, gdyż Koza był analfabetą, do wiadomości czytelników polskich podajemy? Może to był zdarny chłop, w którym dziwnym kaprysem talent rzeźbiarski np. zamieszkał, oku dał mądrość, a palcom giętkość, i kazał mu rozdroża wiejskie figureczkami świętych Pańskich zdobić, na starych drzewach kapliczki przybijając?... Może drogami temi kiedyś szedł Witkiewicz, przed kapliczkami stawał, pierwszy w nich iskrę Bożą ujrzał, więc starych ludzi się pytał:

— A nie wiecie też, dobrzy ludzie, kto to wystrugał?

I ktoś mu rzekł:

— Dyc był tu, panie, taki Koza.

A może Koza grajkami był, może jego pieśni i melodie zapadały w głąb serc dziewczęcych podczas lipcowych wieczorów, stamtąd leciały w świat i, coraz to inną pamięcią chwytane, ślad autorstwa zatraciły...

Może... Daruj mi, duchu Kozy, że temu wszystkiemu zaprzeczę. Nie mam wprawdzie źródeł, które pozwoliłyby mi twierdzić, że tak było, a tak nie było, ale intuicyja historyczna, nie krępowana kontrolą szpargałów, najlepiej się czuje i rozwija. Otóż Jan Koza urodził się w jakiejś polskiej wsi pod Skalmierzem, ojciec jego pańszczyzną odrabiał, i on czynił to samo, pomimo to jednak życie jego nie było pozbawione uroków, jakie nawet zwierzęciu daje natura. Koza kochał słońce i ziemię, choć z tego nie zdawał sobie sprawy i wypowiedziećby nie umiał; lubił wieczorami za dziewczynami latać; lubił w południe i wieczorem miejsce swoje koło misy zająć, a że był parobek robotny, więc praca koło roli i koło statku spokoj mu dawała i pogodę. Kwitło koło nie-

stannej czujności, żeby go żaden rozkaz oficera, ani podoficera nie zaskoczył, nie zmieszkał, żeby go w lot wykonał, kroku nie zmylił, żadnego pyłu na guziku przy czyszczeniu nie przeoczył, żadnej haftki przy zapinaniu nie opuścił. Nie myślał, nie zastanawiał się nad niczem, bo czasu nie miał, ale prędko formowała mu się w duszy ślepa wiara w potęgę przełożonych i w ich nieomyślność. Bywał o nieraz, że koledzy Kozy, zwłaszcza ci, którzy na bruku miejskim porodzili się i wyrosli, prawili o oficerach koncepta, generałom nawet nie przepuścili. Koza słuchał i uśmiechał się niewyraźnie. Nie był oburzony, ani zgorszony, bynajmniej, był tylko onieśmielony. Wszelką śmiałość i roztropność odjęło mu, jakby ręką, gdy się w mieście znalazł i gdy go w mundur przyoblekli. We wsi pod Skalmierzem był chłop, jak się patrzy, rozum miał na swoim



Oficer piechoty liniowej 1815—1827. Rys. B. Gembarzewski.

miejscu, ale też wszystko na wsi zostawił—i do wojska przyszedł głupi Koza. Za takiego go też miano. Podoficer mówił:

— Co też ta spodziewać się po takim głupim chłopie!

Koledzy drwili zeń z powodu nazwiska. Razu pewnego jeden z nich zaśpiewał, przekpiwając:

Nie miała Koza ogona, była bardzo
zawstydzona,

i poszła śpiewka po całym pułku o Kozie. A Koza nic, ani jedno słowo na język mu przyjść nie chciało. Uwierzył zresztą, że jest głupi, a wiara ta wzmocniła w nim drugą wiarę w wielki rozum oficerów, w jeszcze większy generałów i w największy naczelnego wodza.

Aż oto Koza się zbuntował! Koza stał się buntownikiem, „miałeźnikiem”, „rewolucjonerem”, zasłużył na katorgę, na Sybir, na pałki, na najsurowsze, jednym słowem, kary, jakimi się ład i porządek bronią przeciw wrogom. Wrogiem ład i porządku publicznego Koza stał się sposobem niezwykle prostym. Gdy do jego pułku przyszła wieść o rewolucyi

go życie, wysuwając proste, nieskomplikowane zadgnięcia, przywiązywało go do siebie coraz bardziej. Ale przyszedł czas, że Koza musiał pójść do wojska. Poszedł, pewny, że wróci, pożegnanie każde kończył słowami nadziei:

— Kięj wrócę—i słowami błogosławieństwa: — Ostańta z Bogiem.

Poszedł i nie wrócił.

Choć w wojsku Koza nie myślał nic, jednak nigdy w życiu nie był tak umysłowo sfatygowany, jak wtedy. Cały zasób energii intelektualnej obracał na utrzymywanie się w nieu-

Warszawie, oficerowie kazali żołnierzom stać pod bronią, oznajmili im, że ojczyzna powstała i że z rewolucją się łączy.

— Niech żyje ojczyzna!—wołali, kończąc przemówienia.

— Niech żyje ojczyzna!—odpowiadał pułk, a za pułkiem Koza. Dziwne się zarazem poczęły z Kozą dzieła dziwne. Panowie oficerowie, zwłaszcza młodzi, podporucznicy, rozmawiali z Kozą, jak z równym, pytali go się o ojca, o matkę, o siostry i braci, wymyślali na pańszczyznę, mówiąc, że to niesprawiedliwość i krzywda, że ojczyzna dla wszystkich jedną powinna być matką.

— Wypędzimy wroga, pańszczyznę skasujemy, ziemię chłopom na własność damy. Będziesz miał swój grunt, Kozo, i pańszczyzny nie będziesz robił, ani ty, ani twój ojciec.

I Koza coraz to zapalczywiej wołał:

— Niech żyje ojczyzna! Niech żyje dyktator Chłopski!

Zapał taki weń wstąpił, że nieraz mówił do kolegów:

— Co mi ta grunt! wiem ci ja, że rząd narodowy krzywdy nie robi, a o bogactwo nie stoję. Trza bić, to grunt!

Głupota poszła kajś od Kozy precz, wrócił mu dawny, wiejski rozum, rezolut się zrobił, w kaszę już sobie więcej płuć nie dał. A gdy przyszła chwila walki, gdy Kozę owiał proch, gdy bój wokoło wrzeć począł, to jakby weń piorun wstąpił. Weszły weń jakieś nieznanne moce, śmierci nie widział, choć mu ciągle w oczy lała, z bagnietem się rzucał, nie patrząc, ilu przed nim stoi. Niech żyje ojczyzna! Wracaj z pod Grochowa do Warszawy z głową, przewiazaną brudną, skrwawioną chustą, z oczami, płonącymi pochodnią boju. Wracaj, witany przez tłumy, widział kobiety, podnoszące do góry swoje dzieci, aby go ujrzeć mogły.

— Niech żyje wojsko polskie!—wołano.

— Niech żyje ojczyzna!—odpowiadało wojsko.

Przeszedł Koza wszystkie bitwy, śmierć go nie wzięła, z tymi więc wszystkimi, co przy życiu zostali, doczekał się nieszczęścia. Mówiono mu, że amnestię może dostać i do chałupy swojej wrócić.

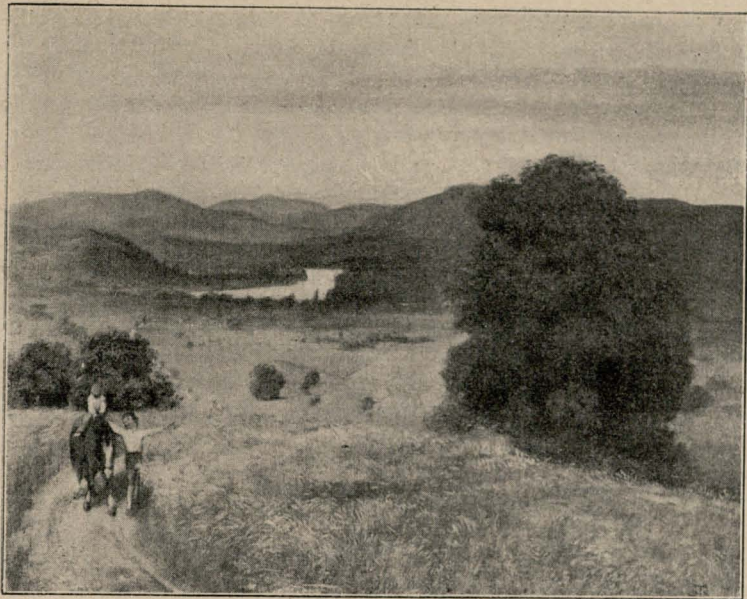
— Nie trza mi nijakiej amnestyi—odpowiedział krótko i poszedł na emigrację.

Na emigracji spotkał Kozę, jakieśmy rzekli, Jan Bartkowski, i to, co się od niego samego o jego losach dowiedziało, umieścił w swoich pamiętnikach.

(DN).

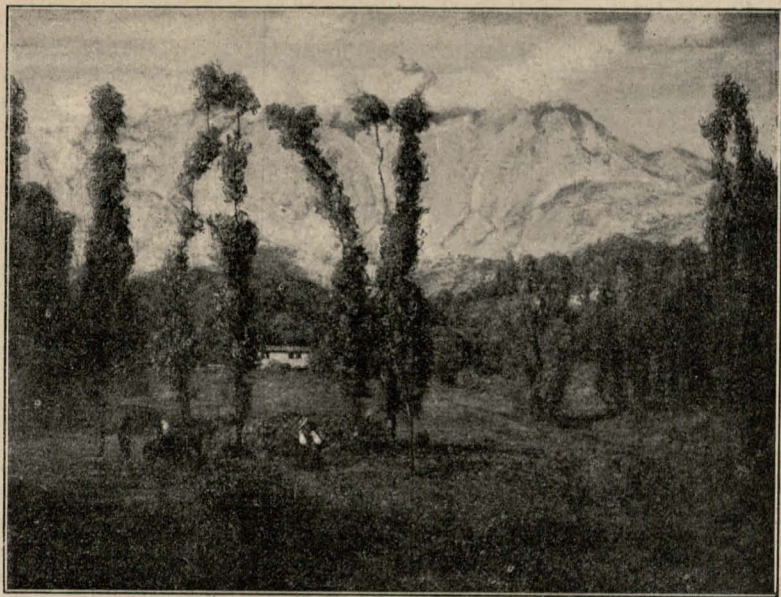


Muzykanci i dobosze piechoty liniowej, 1815—1826. Rys. B. Gembarzewski.



DZIEŃ LETNI

HANS THOMA



KOPALNIE MARMURU W CARRARZE

HANS THOMA

Jubileuszowa wystawa Thomy we Frankfurcie nad Menem.



Hans Thoma.

Nestor sztuki w Niemczech, Hans Thoma, obchodzi d. 2 października 70 rocznicę swych urodzin. Frankfurt, gdzie Thoma długie lata żył i pracował, obchodzi tę uroczystość wielką, jubileuszową wystawą w

salach „Towarzystwa sztuki”.

Pod chłopską strzechą w Czarnolesiu (Schwarzwald) urodzon, nie wyszedł Thoma przez pierwsze 20 lat swego życia poza międę swej wsi rodzinnej, a dziś cieszy się czcią i uwielbieniem nie tylko swych rodaków, lecz całego cywilizowanego świata, dziś kroczy w pierwszym szeregu kapłanów świętego ognia sztuki. Kiedy, dzięki poparciu wielkiego księcia badeńskiego, dostał się, jako młodzieniec, do Szkoły Sztuk Pięknych w Karlsruhe, wtajemniczono go tu w arkana techniki, zresztą szkoły już nie potrzebował. Jako pasterz trzód, uczył się patrzeć na świat, odczuwać go i już wtedy

nosił w sobie zarodki naiwności w połączeniu z rozsądkiem, złotego szczęścia dziecka i zafania w swą męską siłę.

Nie można też mówić o stopniach rozwoju u Thomy, o zależności od szkół, o mistrzach, na którychby się był wzorował, raczej o zgłębianiu, wzbogacaniu i harmonijnem rozkwitaniu zasadniczych składników swej istoty. On miał już swój styl, kiedy zapoznał się z techniczną stroną swej sztuki, i styl ten za-

chował. Czy to będzie pejzaż, czy portret, opowiadanie z mytów greckich, czy urywek z życia bogów Walhalli, bajka czy temat ze Starego i Nowego Testamentu, rzeczywistość czy wieczne marzenie ludzi o szczęściu i lepszym życiu, zawsze charakteryzuje Thomę jasność i wszechstronność patrzenia, niewyczerpane bogactwo fantazyi, różnorodność pojmowania, głębokiem ciepłem przejęta obserwacja natury, pewność w technice.

Ten malarz-poeta nadaje jednolite piętno swej sztuce przez swój szeroki horyzont myśli i uczuć, przez ciepło, które wieje z każdego jego obrazu, przez niewyczerpaną miłość do Boga i natury i zbliża się do każdego przez swą prostotę i łatwość pojęcia go, jako przyjaciela, pocieszyciela, ojciec.

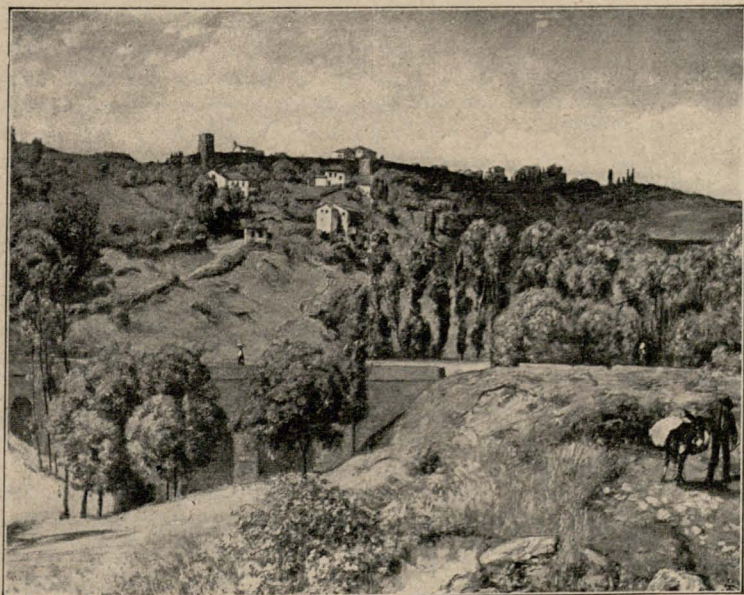
Z okazji hołdu, złożonego mu przez pierwszorzędných artystów i wielbicieli, Thoma mówi o swej sztuce, jako o świętej, wesołej zabawie, która sama przez się jest dostateczną nagrodą dla twórcy; to bawienie się artysty ma jednak głęboki i poważny podkład, pozwala nam bowiem przeczuwać zagadkę bytu, a przez to wierzyć. Sztuka—kończy dalej—unosi człowieka przez swoje źródło w uczuciu ponad walki i rozdwojenia codziennego życia, i, gdyby można było w sztuce dać pełny wyraz tym uczuciom, zapanowałby spokój na ziemi.

Ta myśl Thomy przemawia do nas z obrazów, zdobiących ściany kościoła św. Piotra w Heidelbergu. I rzeczywiście, szkoda to wielka, że nie powierzano mu ozdabiania in-



PASTERZ GRECKI

HANS THOMA



MOTYW Z POD SIENY

HANS THOMA



CISZA

HANS THOMA

nych kościołów. Byłby w sztuce stworzył coś bardzo analogicznego do kantat Bacha.

Nie wolno mi jednak, mimo podziwu dla Thomy, nie widzieć częstego braku perspektywy i zbytecznego zaludniania niektórych pejzażów ludźmi, ptactwem etc.

Niepowodzenie i ciężkie walki życia nie potrafiły go złamać, sprowadzić z raz obranej drogi. Ale i sława, powodzenie już u progu starości, po długim okresie osamotnienia, po czasach, kiedy go ignorowano, nie rozumiano, nie zmieniły go ani jako malarza, ani jako człowieka. Dziś wciąż i zaszczytami okryty, rektor Szkoły Sztuk Pięknych w Karlsruhe, jest takim skromnym człowiekiem, jakim był jako, pasterz w górach, jako uczeń w szkole, jako głodujący malarz we Frankfurcie.

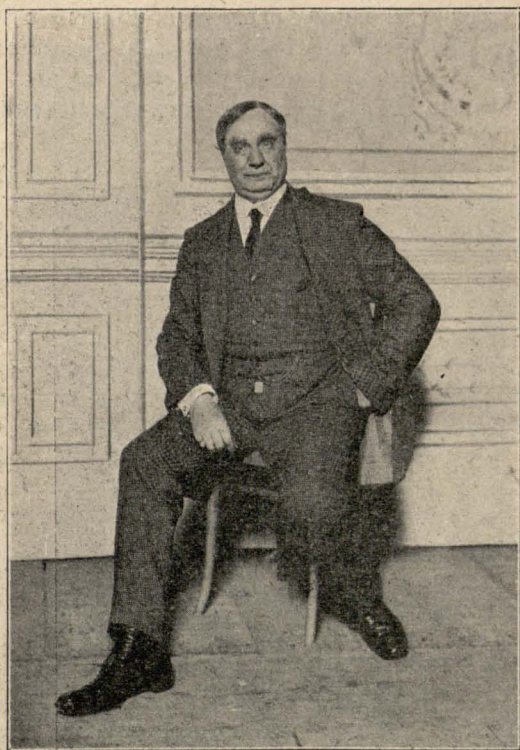
Prof. M. M.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Nieco impresji ze sztuki trzyaktowej Bernarda Shawa „Lichwa mieszkaniowa”, wystawionej w Teatrze Letnim. — Losy opery naszej weszły w nową fazę, lecz rzeczą jest wątpliwą, czy ustalą się na gruncie dość chwiejnym. — Wznowiono bardzo słabą i staroświecką komedijkę Bissona, „Pan Dyrektor”.

Już zdążył p. Kamiński wrócić z wczasów letnich, wznowić „Dyrektora” i błysnąć w nim jedną z najlepszych ról swoich; już zdążył p. Fitelberg ogłosić w pismach *menu* dwunastu wielkich koncertów swoich na sezon zimowy; już przekonano się, że publiczność będzie chodziła nie tylko na farsę, lecz i na dramat, byle podobny był z treści i wystawienia do „Sędziów” Wyspiańskiego; już zdążyły, dzięki długotrwałej pogodzie jesiennej, zakwitnąć powtórnie tu i owdzie poziomki—a opery jak nie mamy, tak nie mamy!

Puszczają się na imprezę... sami artyści. Ogłosili abonament. Podobno nawet posypały się wcale okazałe zamówienia. Myślę jednak, że prowadzenie opery własnymi prywatnymi siłami jest przedsiębiorstwem co najmniej ryzykownym dla nie-kapitalistów. Dawno już temu pisałem na tem miejscu: skończy się na tem, że znowu Dyrekcja Teatrów weźmie operę w ręce swoje. I dziś jeszcze wciąż jestem tego zdania, że, pierwiej czy później, dojsz do tego musi.



Mieczysław Frenkiel, jako Sartorius, w komedii B. Shawa „Lichwa mieszkaniowa”.

Tego, do czego biorą się obecnie artyści nasi, śpiewacy, trudno uważać za imprezę na dużą metę; trudno, powiem szczerze, brać na seryo.

Zupełnie jak większość utworów scenicznych Bernarda Shawa, skądinąd nader szacownych, jako okaz nie byłby jakiego talentu, i cieszących się niezaprzeczoną popularnością—nie tylko w Anglii.

Świeżo oto pokazano nam w Teatrze Letnim jego „Domy wdowca”, pod polskim tytułem „Lichwa mieszkaniowa”, i trzymano nas przez niejedną chwilę na tej angielskiej sztuce, jak na niemieckim kazaniu. Mniejsza zresztą o raczenie nas docinkami do zwyczajów i obyczajów, z którymi, chwalić Boga, nie mamy wcale do czynienia; mniejsza o gromienie zawitych spekulacji miejskich czysto angielskich, o których dowiadujemy się dopiero ze sztuki Shawa. Ale wogóle cała mizantropia i pesymizm Shawa, cała jego zjadliwość *quasi* satyryczna, wyglądają mocno podejrzenie. Zakrawają niedwuznacznie na—kpinę z sz. publiczności albo na auto-kpinę, czyli na dworowanie z własnych: albo miotań się, albo sofistycznych paradoksów.

Ot... babrze sobie utalentowany wielce pisarz w błocie nikczemności ludzkiej i przetrząsa gałgany ludzkiej lichoty. Sport sobie z tego uczynił. Czasem błysnie jakimś tombakowym guzikiem, że przysiągłbyś: złoto! A tu tymczasem autor w śmiech—z naiwności twojej. Słuchasz, patrzysz i drżysz, aby który z melodramatyzujących właśnie (chwilowo!) bohaterów nie urwał nagle, nie rozebrał się—i języka nie pokazał. Bo i to się zdarza w scenicznych koncepcjach i obyczajach p. Bernarda Shawa.

Tylko że mu się wszystko wybacza, taka bestya sprytna, dowcipna, zręczna i rzuca prosto w oczy prawdę przynajświętszą.

Powiadają, że to „nowy rodzaj twórczości scenicznej”. Nie pisze się już „sztuk”, lecz... kaprysy dyalektyczne, rozdyalogowane, pourywane, gdzie chcąc, obracające na nice w jednym akcie to, co się twierdziło pozytywnie w akcie poprzednim, kaprysy, pełne drażniących niespodzianek, pełne ludzi o duszach i naturach absolutnie kalejdoskopowych, to jest układających się coraz to inaczej, jak potrząsane szkiełka.

Bawi to wszystko, ani słowa; daje nawet sporo wrażeń... pikantnych, ale — o dziwo! — nie zdolne jest nawet gruntownie i głęboko obmierzić lub wstrętną uczynić podłość i głupotę ludzką.

Oto np. w owej „Lichwie mieszkaniowej”. Czyliż może być coś plugawszego, jak kamienicznik, wyzyskujący nędzarzy odnajmowaniem im mieszkań za drogie pieniądze, a gorszych, niż chlewy? Czyliż może być coś obrzydliwszego, jak kawaler z arystokratycznej rodziny, nie tylko lokujący swój kapitał na owych domach, wołających do nieba krzywdą ludzką, ale poślubiający bogatą jedynaczkę spekulanta-milionera? Albo rajfur-szantażysta, stręczący lukratywne, lecz brudne „interesy” i traktowany, jak najzacniejsza, najszanowniejsza osobistość? Albo młode dziewczę, dowodzące, że pieniądze nie mają zapachu, choćby z nie wiedzieć jakich rąk pochodziły, że są bożyszczem jedynym, godnym czci i uwielbienia?

Lecz po wysłuchaniu sztuki Shawa nie uczuwamy smutku, że tak podle i marnie dzieje się na świecie; nie uczuwamy też chęci przeciwdziałania takiemu stanowi rzeczy. Przeciwnie. Autor tak wrażenia nasze i duszę zdążył poobrać na wszystkie strony, że wychodzimy z teatru jakby pogodzeni z ...koniecznością takich triumfów zła.

Nihilizm moralny Shawa, podszyty zupełną obojętnością na wszystko, nierobieniem sobie niczego z całej ohydy, którą znakomicie przed nami roztoczył, wywiera wpływ moralny destrukcyjny. Wszystko jest marność! — woła król Salomon. Wszystko funta kłaków nie warte! — woła Shaw. Jest atoli w tych dwóch wykrzyknicach, napozór blizkich sobie, znaczna duchowa różnica.

Shaw nie jest mędrcom i mocarzem, przejętym do głębi bezgranicznie smutną melancholią życia. Shaw jest kłownem, dającym z równie cyniczną dezynwolturą szcztka w nos lalce z *papier maché*, jak Mojżeszowi Michała Anioła.

— Ale to bardzo subtelne! — odparł mi ktoś w pierwszym antrakcie, kiedym sarknął na kompletnie zaniedbaną szkicowość ekspozycji sztuki.

— Bez wątpienia. Tak!... Bardzo subtelne wprowadzanie nas w pole.

— Pan nie odczuwa nowoczesnego impresjonizmu.

— Przeciwnie. Nie tylko odczuwam, lecz — niestety — widzę. Na obrazie, na którym jakaś blade linia fioletowa odcina coś blade-zółtego od czegoś blade-niebieskiego, widzę, że absolutnie nic niema, co najwyżej szkic nieudolny jakiejś mającej stać się pustyni; a na obrazie, wystawiającym pięć czerwonych kleksów, przemieszanych z kilkoma zielonymi, widzę, niestety, tylko — kleksy.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Z PODOLSKICH STRON.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

II.

Podole... Ale już szlak na Stary-Konstantynów ku Wołyniowi opada, już w widłach Płoski i Bohu czernieją trzęsawiska, już się krajobraz, nastrzępiony gdzieniegdzie wzgórzami, zmienia, w omal regularną nizinę przechodzi—to proskirowskie strony.

Płoskirów! I tu historii niezatarta karta. Niegdyś po zygmuntofskie czasy królewskiej, przez tegoż Zygmunta grodowem prawem obdarzona i panu chorążemu kamienieckiemu, Maciejowi Włodkowi, który, pod Obertynem w pierwszych



Typy włościan podolskich.

szeregach walcząc, wiele się do znamienitej wiktoryi przyczynił, podarowana później Lanckorońskim, wreszcie wianem do rodziny Zamoyskich wraz z licznymi włościami przeszła. Niejednych przeto zdarzeń dziejowych była świadkiem, nim, w ręce się Lisogubów dostawszy, stopniowo na godności powiatowego miasteczka, czem jest obecnie, poprzestać musiała.

Inny też musiał być ten dawny Płoskirów, czego ślady po dziś dzień zostały, inny za czasów zwłaszcza pierwszego właściciela, imci pana chorążego, który tu własne „barwy” przeciw Wołoszy i Tatarzynowi trzymał, inny za ordynata Klemensa Zamoyskiego, który tutaj po rok 1764 rad przebywał.

Ale wróćmy do „dzisiaj”, ile że ciche miasteczko właśnie jakby na jakieś odpustne święto przystrojone.

Wystawa, a że kraj rolniczy, więc rolnicza. Podolskie Towarzystwo rolnicze w komplecie, z prezesem komitetu wystawy, hr. Aleksandrem Tyszkiewiczem, i głównym organizatorem wystawy, p. M. Baranieckim, na czele.

Zjazd ziemian ogromny. Całe Podole *in*

WYSTAWA W PŁOSKIROWIE.



Przed rozdaniem nagród.



Publiczność na wystawie.

pleno, a i gości z dalszych stron, nawet z za kordonu, nie brak.

Colonna - Czosnowscy, Tyszkiewiczowie, Jarszyńscy, Orłowsy, Rakowsy, Giżycy, Mańkowsy.

W szopach, halach rzą rasowe konie, uwiija się służba w „barwie”, przeprowadza chluby stad, obór, aż się płoskirowskie myszuresy dziwiają!

A jest ich tylu, że się każde szlacheckie serce udelektować może, i typy, jak mało gdzie.

Ale żart na stronę! Żyd podolski to nie „litwak”, ma wady swego plemienia, ale i przywiązanie do ziemi, która go wydała i karmi.

I tradycję szanuje, i na pięknie zna się.

A właśnie zjawia się samo piękno i całą wystawę skupia. Popis pojazdów: czwórki, pary, w brzęczących uprzężach!

Kto żyw, wypatruje oczy, bo w pojazdach, co ma najpiękniejszego Podole—Podolanki.

Orlice! każda dziewczucha za trzy starczy. Bujne to, rozrośnięte, krasne, mocarne, jak podolska ziemia.

I miał się w tych warunkach wystawa nie udać?

Udała się, jak mało, i pod każdym względem.

Bo i o duchowej strawie nie zapomniano.

Wszak to setne lato tego, co o Zosiach z nad Ikwy śpiewał, co czuł „Boga w polach Ukrainy”, co wołał, by „żywi nie tracili nadziei”.

I oddano mu hołd w wieczorze Jego imienia z tą „nadzieją”, którą w testamencie potomnym przekazał.

A potem bawiono się jeszcze w dobrym celu. Był bal.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć za poetą:

„I ja tam byłem,
„Miód i wino piłem”...

Ale, że się musiał udać, ręczę, bo na Podolu wszystko się udaje.

Taki już kraj i ludzie: umieją chcieć i robić.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Do przyjaciół młodzieży.

W ciągu ostatnich lat kilku we wszystkich znaczniejszych ogniskach naukowych Europy zachodniej powstały mniej lub więcej liczne kolonie młodzieży polskiej. Obecnie do kolonii tych odpływa z kraju świeża fala wychodźców. Skromna walizka i pugilares, wypełniony nadzieją, że „jakoś to będzie”—oto przeważnie cała wyprawa studenta. Nadzieja ta szybko jednak pierzcha w zętknięciu z rzeczywistością, i wówczas zaczyna się borykanie z niedostatkiem, nawet z nędzą.

Wprawdzie niemal wszędzie istnieją już dziesiąt polskie organizacje studenckie, które starają się ułatwić nowoprzybywającym kolegom urządzenie się w obcym mieście, które dbają o to, ażeby dostarczyć im potrzebnych informacji, oszczędzić błąkania się i od razu wprowadzić na drogę poważnej pracy, ale, oddając wielkie w tym kierunku

usługi, nie mogą one jednak zapewnić nawet najbardziej potrzebującym stałej pomocy materialnej.

Wszystkie t. zw. „Pomoce bratnie” są w gruncie rzeczy instytucjami bardzo ubogimi. Fundusze ich powstają ze składek koleżeńskich i tam, gdzie tych kolegów jest zaledwie kilkunastu lub kilkudziesięciu, niewiele im zostaje po opłaceniu lokalu klubowego na wzajemne zasiłki pieniężne, które nadto, o ile są udzielane, zbyt ciężko i powoli podlegają zwrotom, utrudniając przez to prawidłowy rozwój kas koleżeńskich.

A jednak—od tych właśnie zasiłków, udzielanych w porę, zależy często cała przyszłość niejednego młodzieńca. Ten i ów, o słabszym zdrowiu, o mniejszych zasobach sił fizycznych i moralnych, ginie przedwcześnie w obcym środowisku, lub powraca do kraju wycieńczony i złamany na duchu. Inni w skutek braku środków—przedłużają swe studia poza okres normalny i zamiast czterech lub pięciu lat siedzą zagranicą przez lat dziesięć i przez ten czas tak wrastają w obce warunki, że powoli powrót do kraju przestaje być dla nich nakazem kategorycznym, zostają więc najczęściej w „swoim Paryżu” i powiększają armię tych „konsulów z przypadku”, których Polska ma na całym świecie. Oczywiście, dla społeczeństwa i jedno, i drugie nie jest korzystne. Pragnie ono, aby młodzież zdobywała zagranicą wiedzę specjalną, zawodową i z tą wiedzą powracała do kraju.

Pragnienie to jest najzupełniej uzasadnione; równoległe z niem jednak powinna iść większa troska o los i sposób życia tej młodzieży, która obecnie, z konieczności, w tak znacznej liczbie przebywa zagranicą. O zamożniejszych myślą rodzice. Oni dostarczają im środków. Oni bądź odwiedzają ich sami, bądź sprowadzają do kraju na wakacje. Mniej zamożni pozostawieni są wyłącznie samym sobie, i jedyne ich oparcie—to owe stowarzyszenia młodzieży, owe „pomoce bratnie”, które, oprócz uczuć bratnich, niewiele więcej mają do rozporządzenia.

Z instytucjami temi społeczeństwo powinno utrzymywać jakiś związek bliższy, powinno więcej, niż dotąd, dbać o ich żywotność, o ich rozwój, co przypuszczalnie dałoby się osiągnąć przez ustanowienie kategorii *członków wspierających*, którzy należeliby do stowarzyszeń młodzieży polskiej zagranicą w charakterze jej przyjaciół. A przyjaciół takich, którzy sami z doświadczenia wiedzą, że życie studenta-Polaka na obczyźnie nie jest usłane różami, młodzież posiada chyba poddostatkiem w kraju, gdzie emigracja we wszystkich swoich postaciach ma już z górą stuletnią historię.

Z. D.

„TYGODNIK”

W ŚWIETLE WSPOMNIENI DZIECIŃSTWA.

Nie bez wzruszenia patrzę na rycinę poniższą. Myśl cofa się o lat trzydzieści blisko wstecz. I widzę wioskę w kącie zapadłym, dokąd dwa, trzy razy na tydzień pachciarz przywoził pocztę z pobliskiego powiatowego miasteczka.

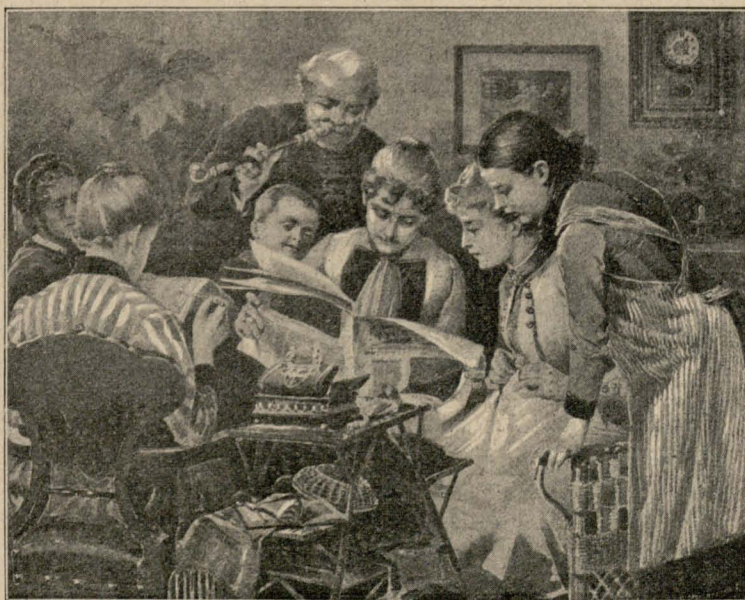
Starsi interesowali się polityką. Chociaż czas były spokojne, około okrągłego stołu pod lampą, cichym wieczorem jesiennym, czy zimowym snuto bez końca plany podziału Europy.

My, dzieci, zasypialiśmy powoli na ziemi, na krzesłach, zanim padło cowieczorne hasło: „marsz do łóżek”. Inaczej bywało we wtorki. We wtorek bowiem czarnobrody Jasek przywoził z poczty *Tygodnik*. My, Spinając się na palce, z za pleców starszych otwieraliśmy szeroko rozciekawione oczy, przed którymi przesuwaly się portrety zasłużonych ludzi, pamiątki historyczne, obrazy i sceny rodzajowe, czasem postacie bohaterów, co w bajkach, opowiadanych przy łóżeczku, występowały, wydarzenia wojenne...

Tygodnik dla nas był w ściśle tego słowa znaczeniu oknem na szeroki, daleki świat, dokąd rwały się stale podniecane czytaniem fantastycznych podróży myśli.

A kiedy już wszyscy starsi zaspokoiili swoją ciekawość, kiedy przeczytany numer spoczął na honorowym miejscu głównego stołu w salonie, dokąd dzieciom wstęp był wzbroniony, zakradaliśmy się jednak, używając podstępów różnych, niby czerwonoskórzy z czytanych opowieści.

I rozpoczynało się oglądanie *Tygodnika* na własną rękę. Co za rozkosz! Brudne paluszki posuwały się wzdłuż mozolnie sylabizowanych podpisów pod rycinami, podziwianymi długo, powoli. Uczyliśmy się czytać na *Tygodniku*, a ryciny utrwały się w pamięci na zawsze, jako jedne z pierwszych i najmocniejszych wrażeń i wzruszeń...



„TYGODNIK” NA WSI

Rys. oryginalny P. STACHIEWICZA



Rysunek W. Gersona z Nr 1 „Tygodnika” 1859 roku.

tak pod względem naukowym, jak i artystycznym. I niechże nam wolno będzie przypomnieć, że w naszym piśmie kruszyli pierwsze kopie szermierze pióra, których imiona zasłynąć wkrótce miały, jak Polska szeroka i długa, z Henrykiem Sienkiewiczem, Aleksandrem Świętochowskim i Elizą Orzeszkową na czele; że nie było w Polsce i niema pisarza znacznego talentem i zasługami, któryby płodami swego ducha nie z bogacił kart *Tygodnika*; że wreszcie największe arcydzieła naszej literatury ostatnich lat kilkudziesięciu siały blask swój nie skądinąd, jeno z roczników naszego pisma, tutaj wytrzymały swoją ogniową próbę.

Wielki to, niezapomniany moment w życiu naszym, radosny, ale zarazem pełen powagi skupionej i cichej. Bo oto obrócić się nam trzeba i policzyć, azali nie uroniliśmy czego z danych nam na drogę życia skarbów ducha? czy przyczyniliśmy dobra narodowi? czy nie zapomnieliśmy żadnego z przykazań, pozostawionych nam przez ojców? Oto nadeszła chwila, że musimy zdać liczbę z szafarstwa naszego przed najwyższym ludzkim sędzią czynów ludzkich na ziemi: opinią publiczną.

Ale przed tym sądem staniemy z podniesionem czołem. Nie obawiamy się jego wyroków. Bo oto stoimy w pełni poczucia spełnionego obowiązku, w granicach, jakie nam czas i trudne warunki życia narodowego zakreśliły. A przecież w tej naszej długiej przeszłości były chwile ciężkie, kiedy niejeden zламаł ręce, zwątpił o przyszłości, pozwolił rozhartować się energii. Trzeba było jednak wytrwać... I nie mówimy tego, by szcycić się zasługami. Nie może być o nich mowy, gdy chodzi o pracę dla dobra wspólnego. To są tylko, jak mówi wielki nauczyciel narodu naszego, Stanisław Konarski, splecione ojczyźnie długi. *Tygodnik* nie zapomniał o tem przez całe półwiecze swego bojuwania, starał się długi swój spłacić rzetelnie.

Nie dla czezej chwały, nie dla poklasku, ale pod godłem użyteczności publicznej poprzednicy nasi, rozpoczęli swą pracę. Uczyli z *Tygodnika* wysoki trybunał i probierz tak pod względem społecznym, jak i literackim. I dla-

tego też na szpalty jego nie dostało się nic, coby było zaprawne goryczą. Niełatwe to było zadanie, i praca odpowiedzialna. Przecież nie ulękli się jej Jenike i jego najbliżsi współpracownicy.

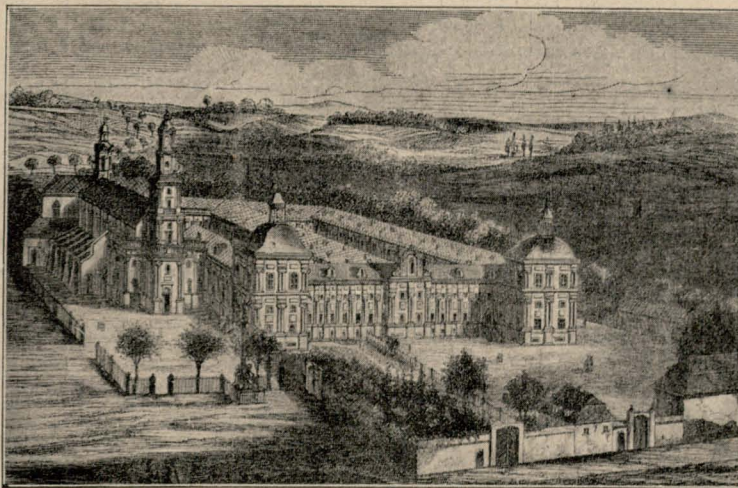
I oto pismo, które rozpoczęło swój lot tak górnymi szlaki, wzięło sobie za cel nigdy nie obniżać skrzydeł, aby nie powiedziano o niem, że jest jako ów rolnik nieopatrzny, co nie oddzielił starannie ziarna od kąkolu, by rosły pospołu, na szkodę ludzką i zgryzotę.

I te nakazy szczytne my, spadkobiercy założycieli i pierwszych kierowników *Tygodnika*, wzięliśmy sobie za zbroję, ich niezapomniane słowa wypisaliśmy na swojej tarczy.

W takim ryszunku stajemy przed sądem narodu. Jakikolwiek wyrok zapadnie, nie przestaniemy iść naprzód wytrwale, twardo stojąc przy tych hasłach wzniosłych, które w testamencie swym duchowym pozostawił potomności poeta:

Bądź tym pokarmem, który serca żywi,
Bądź im tą siostrą, kiedy nieszczęśliwi,
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili—nadzieją!
A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!

* * *



Klasztor w Trzebnicy. Rysunek z Nr 1 „Tygodnika” 1859 roku.

Do tej chwili uroczystej przygotować się musimy godnie. Dziś — poprzestajemy na tej krótkiej notatce, na radosnem podzieleniu się z naszymi czytelnikami wiadomością o naszym jubileuszu. Ale wiemy, że na tem poprzestać nie wolno.

Ale wiemy, że, im więcej komu dano, z tem większej liczby zdawać musi sprawę.

Czujemy się więc obowiązani do upamiętnienia tej chwili. Uczynimy to w sposób najgodniejszy: oto w pierwszych dniach grudnia czytelnicy nasi otrzymają wielki, w trójnasób powiększony jubileuszowy numer *Tygodnika*, w którym znajdzie się najszczególwszy obraz półwiekowej pracy naszej na polu kultury narodowej we wszystkich działach: społecznym, literackim, naukowym i artystycznym, wraz z historią pisma i jego kolei.

Niechaj ten dar będzie miłą pamiątką dla naszych przyjaciół, wśród których, kto wie, może niejeden znajdzie się taki, kto przed pół-

Konstanty Świdziński.
Portret z Nr 1 „Tygodnika”, 1859 roku.

wiekim ze wzruszeniem spoglądał na „Anioła Zmartwychwstania”...

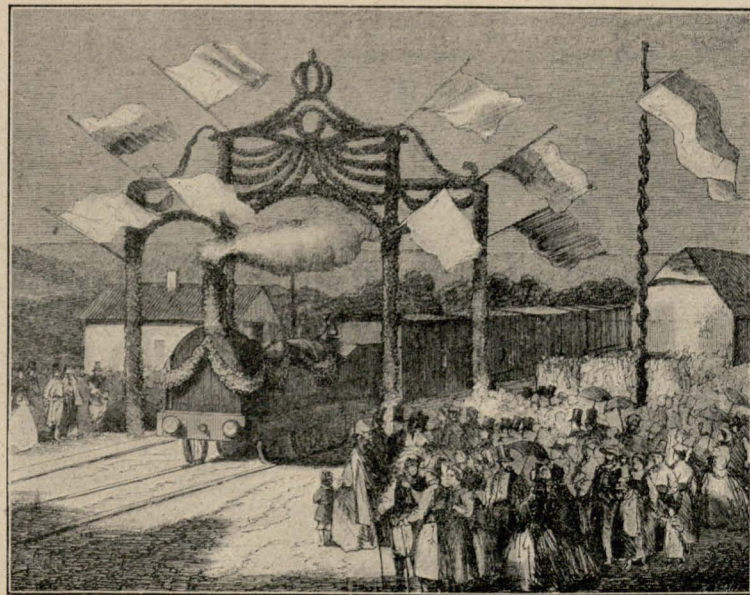
Nie dość na tem. Nasz jubileusz zbiega się z wielką rocznicą Grunwaldu, świętem tryumfu geniusza Polski i Słowiańszczyzny nad pychą i zaborczością krzyżacką. Tę podwójną uroczystość postanowiliśmy uczcić należycie. A znakiem widomym tej czci będzie wspaniały „Album grunwaldzki” Wojciecha Kossaka.

Wspaniałe kartony, upamiętniające najdonioślejsze chwile walki dziejowej dwóch narodów: Niemiec i Polski, już są gotowe, a piękne ich kolorowe reprodukcje—na ukończeniu.

Ten więc upominek ofiarujemy niebawem naszym czytelnikom wraz z pierwszym tomem zapowiedzianego pisma p. t. „Ciekawe powieści”, które rozsyłane będzie prenumeratorom *Tygodnika* bezpłatnie.

W tym pierwszym tomie znajdzie się piękny utwór znakomitego powieściopisarza, dawnego członka naszej redakcji, Władysława Sabowskiego (Wołodego Skiby), p. t. „Nad poziomą”, czarujący urokiem młodzieńczego zapału i czystości uczuć obraz tych szlachetnych wlotów ducha, których widownią były pierwsze lata istnienia *Tygodnika*, do r. 1864.

☞

Otwarcie drogi żelaznej ząbkowicko-kotowickiej.
Rysunek z Nr 1 „Tygodnika” 1859 roku.



Floryan Mokrski, biskup krakowski w wieku XIV.
Kopia obrazu J. Matejki. („Tygodnik” Nr 163, Tom VII, r. 1871).

SZYMON TOKARZEWSKI:

Towarzysz wygnańców.

„Tygodnik” na Syberii.

(ZE WSPOMNIEN KATORŻNIKA).

Ktoś bardzo silnie szarpie za rączkę dzwonka u drzwi wchodowych.

Stary dzwoniczna jęczy chrapliwym dźwiękiem tak alarmowo, że nasza służąca, Parasfienia, wypuszcza z rąk stos talerzy, które właśnie miała ustawiać w szafie, tłucze je na miazgę, poczem z wrzaskiem ucieka do kuchni.

Michał Gruszecki i ja biegniemy zobaczyć, kto się dobija tak gwałtownie.

Otwieramy.

Do mojego mieszkania, przy ulicy Wielkiej w Irkucku, wchodzi pośpiesznym krokiem proboszcz irkucki, ksiądz Krzysztof Szvernicki, i, mocno zirytowany, mówi:

— Nic niema na poczcie... Idę prosto stamtąd. A wy—otrzymaliście listy i gazety?

— Skądżeby, dobrodzieju? skoro ich niema na poczcie...

— Prawda!... Bo dziś jest ich święto kościelne, jutro niedziela, pojutrze galówka. Z tej racji widzicie, moi drodzy, pocztylioni będą hulali kędyś po drodze i dopiero we wtorek do Irkucka dociągną, tysiącem kłamstw usprawiedliwiając swoje opóźnienie. Tak przypuszcza pocztalther.

— Tak też i będzie — przyświadczy, zasnuć serdecznie, że nas zawodzi nadzieja otrzy-

mania dziś listów i równie gorąco upragnionych i niecierpliwie oczekiwanych czasopism polskich.

Czem one były dla nas, wygnańców, zrozumie tylko ten, czyjej myśli nieustannie była przymotna ojczyzna. Losy zaś rzuciły go o tysiące mil od ziemi rodzinnej. Wszelako dla mnie i dla całej licznej grupy bliskich mi sercem i poglądami braci — wygnańców najmilszym pismem był *Tygodnik Ilustrowany*.

Czemu?... gdyż, pomimo ostrej ówczesnej cenzury, *Tygodnik Ilustrowany* w każdym numerze mówił o Polsce, i to w sposób zarówno dla inteligentów, jako i prostaczków, zrozumiały: mówił rycinami.

Podczas mojego powtórnego wygnania pewien odłam naszej prasy i społeczeństwa góry, mury walił na naszą przeszłość, i na tę najbliższą, i na tę daleką, już do historii należąca... Błotem i szyderstwem na nią bluzgał... białym, skrwawionym orlim skrzydłom urągał, na pośmiewisko obcych po rozstajnych drogach je rozrzucał.

Jednocześnie *Tygodnik Ilustrowany* na swoich kartach pomieszczał wizerunki naszych bohaterów, naszych rodaków, w całym świecie sławnych. Pomieszczał ryciny, przedstawiające epizody historyczne, z epoki owej, kiedy *Ona* jeszcze nosiła koronę, gronostaje, strojna w szatę ze złota i purpury tkaną... W ten sposób *Tygodnik Ilustrowany*, jeszcze podówczas w wieku młodzieńczym będący, z tak zwanymi „młodymi” polemizował — bez słów...

Więc, że wspólnie z nami czcił narodowe świętości, idąc zarazem z postępem, że uprzytomniał nam ojczyznę, dom, wypadki dziejowe, stał się dla nas miły i drogi... A śladami politycznych katorżników-Polaków od Uralu do Kamczatki wędrował przez szereg lat od krańca Syberii do krańca. Uwalniani z miejsc kaźni, zostawiali go swoim następcom, ci znów innym, i tak szło nieprzerwanym ciągiem,

— Michale—mówię do Gruszeckiego po odejściu proboszcza—nie miałbyś, przypadkiem, ochoty wyjechać za miasto? *)

— Przypuśćmy, że ochotę mam—odpowiada zagadniony—to i cóż z tego?

— Ano, mój drogi, kiedy góra nie przychodzi do Mahometa, trzeba, żeby Mahomet poszedł ku górze...

— Tłómacz się jaśniej, wiesz, że nie zwykłem bawić się w rozwiązywanie zagadek.

— To nie zagadka, to poprostu propozycja wyjazdu naprzeciwko pocztylionów.

— Zgoda! zgoda!—ze zwykłą swoją żywością i zamaszystością woła Gruszecki.

— Cały pierwszy kwartał *Tygodnika Ilustrowanego* niezawodnie wiozą ci maruderzy — wtrąca pani Michałowa tytułem zachęty..

Wyjazd nasz następuje równie prędko, jak powstał projekt i zapadła decyzja.

Nie oznaczamy ściśle kresu wycieczki. Gawryłko, znajomy „izwoszczyk”, właściciel dzielnego kłusaka i wygodnej dorożki, dowcipnie obiecuje,

że, chociażby do „matuszki Moskwy”, on nas zawiezie „w tri miga” i w takimże samym przeciągu czasu odbędzie podróż powrotną. Galopem mijamy nie brukowane, od letniej spiekoty stwardniałe ulice stolicy Syberii Wschodniej, parterowe domy z cedrowego drzewa, parkany, okalające plantacje warzywne, spacerowy ogródek, szumnie „gubernatorskim” zwany. Wnet cały Irkuck z oczu nam znika, niby szarą kur-

*) Jakkolwiek nam, wygnańcom, będącym pod dozorem policyjnym, nie wolno było wydalac się z miasta, wszelako pozwalaliśmy sobie niekiedy na blizkie wycieczki.

tyną, zasłonięty tumanami kurzu, które miotają kopyta kłusaka, oraz koła dorożki.

Jedziemy wybrzeżem Angary.

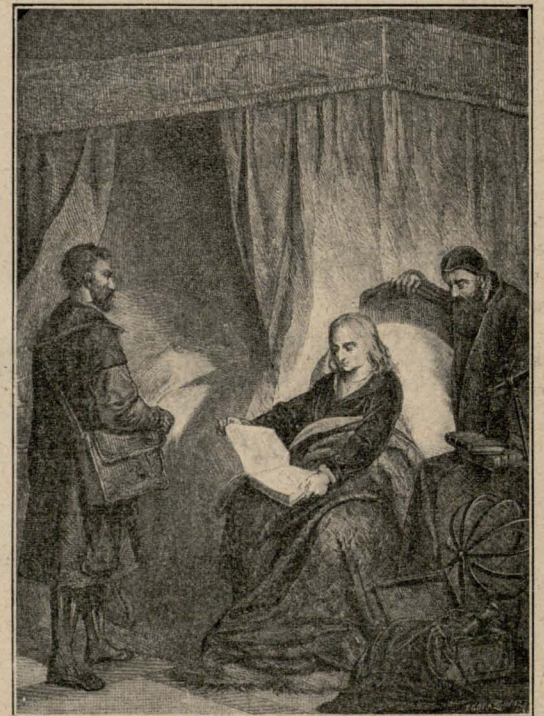
Wspaniała rzeka płynie majestatycznie. W jej kryształowych, przejrzystych wodach odzwierciedlają się obłoczki, wyłoczone i zaróżowione purpurą zachodzącego słońca. Odbijają się też budynki, górujące nad Irkuckiem i okolicą: białe monastera, głowice dzwonnicy i kopuły „Krasnoj cerkwi”, o czerwonych ścianach, a zielonem obramowaniu okien, i inne cerkwie, ozdobione malaturą, w równie zharmonizowanych barwach.

Wolne przestworza, rozległe horyzonty w nas, wygnańcach, zawsze budziły zadumy, smętne nastroje i tęsknice, rozpatrywanie przeszłości, nieziszczalne wróżby na dalekie jutro...

To też, lubo nasz „kuczer” raz po raz zwracał ku nam konopiastą głowę i twarz, roześmianą szeroko, chociaż natarczywie zaczepiał nas swoimi dowcipami, nie otrzymując zachęty do gawędy, umiął za naszym przykładem.

Tymczasem na Angarę padają wstęgi złociste i purpurowe i w fantazyjnych deseniach wiją się coraz bledsze, coraz lżejsze i przezroczystsze... Płonący firmament zwolna gaśnie... Wiatr przyfruwa skądś, wody rzeki swoim podmuchem spiętrza w iskrzące bałwany... Słoneczny glob zapada za Irkut i Angarę... W te tropy idzie popielaty zmierzch, który z kolei ustępuje bezksiężycowej i czarnej nocy.

A jak się to często zdarza po dniu upal-



Kopernik, odbierający w dniu śmierci swojej (24 maja 1543 roku) pierwszy egzemplarz swego dzieła, „O obrotach ciał niebieskich”. Szkic olejny W. Eliasza. („Tygodnik” Nr 164, Tom VII, r. 1871).

nym, niebiosa chlusnęły ulewą, przy iluminacji błyskawic i kanonadzie grzmotów.

Gawryłko żegna się nieprzeliczoną ilość razy, poczem pyta:

— Dokąd jedziemy?

— Zawracaj do miasta!—komenderuje Gruszecki.

Woznica bez namysłu spełnia ten rozkaz. Śmiga batem... Kłusak z miejsca skręca gwałtownie.

Słyszemy trzask, przekleństwa, przeplatane inwokacją wszystkich świętych cudotwórców... Zaczem Gawryłko oznajmia nam:

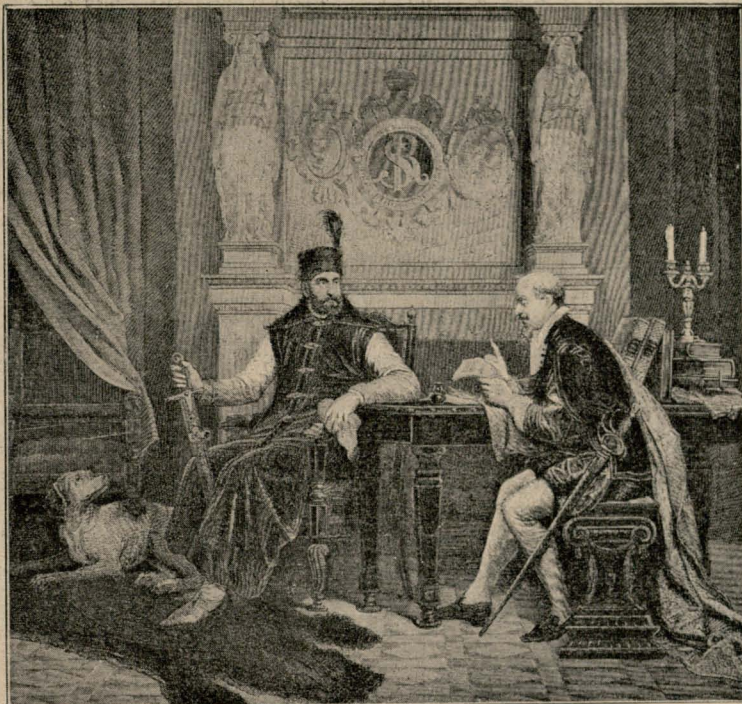
— Dyszel „sawsiem” pęktł..

Oczywiście, nie ruszymy ani kroku dalej. Niewesoły to nocleg w szczerem polu, podczas grzmotów i ulewy, a zwłaszcza jeszcze w okolicach Irkucka, które, chociaż bezleśne, nie należały do bezpiecznych.

W stolicy Syberii wschodniej przy trzydziestu tysiącach ludności trzysta kilkadziesiąt „kaba-ków” i rozmaitych handelków, sprzedających napoje wyskokowe, cieszyły się świetnym powodzeniem. Traktem pocztowym, tym właśnie, gdzie



Jan Sobieski, sadzący drzewa w Wilanowie, w chwili gdy nieznanymi z nazwiska poeta społecznego ofiarowuje mu egzemplarz swej „Sobiesciady”. Kopia obrazu W. Gersona. („Tygodnik” Nr 161, Tom VII, r. 1871).



Batory i Heidenstein, historyograf jego. Kopia z obrazu Dylczyńskiego. („Tygodnik” Nr 168, Tom VII, r. 1871).

nas zaskoczyła katastrofa, nocami ku Europie dążyli zbrodniarze, zbiegli z Kary, z Nerczyńska, z Usula i z innych zakładów karnych. Spotkanie ichmościów takich to prawdopodobna śmierć dla podróżnych...

Zanosi się na to, że nam właśnie grozi takie spotkanie.

W bok, opodal od gościńca, wśród kęp wikliny płoną ogniska... W krwawej łunie mającej postacie, snują się cienie... O! i spora gromada tych postaci, tych cieniów... Przecież na jaskrawem tle poprzez gęste mgły ciemne sylwety postaci są tak bledziutko zarysowane, że niepodobna rozeznąć, kto to taki.

— Brodiagi! „kozia ich mać”! Jam nie tchórz, jam pod „Sebastopolem” był, jam w „pierestrelkach” siadywał i do „Angliczan” strzelał i nie bał się... ale brodiagi to gorsza rzecz!... Myślący jestem... mnie trafia się rozmaitemi myślami natchnienie — przyciszonym głosem chełpi się Gawryłko i kończy z determinacją:—Ale teraz nie wiem, co robić!

My przecież z góry przewidujemy, coby w razie napadu brodiagów uczynił. Na swoim kłusaku, oklep czmychnąłby do Irkucka.

Tymczasem ulewa zmienia się w drobniutki deszczyk, a raczej w wodną kurzawę, która przez całą noc siecze nas niemiłosiernie.

Nareszcie chłodne powiewy od Irkuta i Angary zwiastują zbliżanie się poranku... Wstaje zrazu leniwie, lecz wnet energicznie strząsa z siebie gęste mgły i deszczowe chmury, rozprasza ciemności, rozjaśnia półtony mroków, aż na ziemię i na rzekę cisną sнопami jasności.

O! jakżeśmy radośnie witali ten poranek.

Ogniska wśród wiklinowych zarośli pogasły... Zdała dochodzą jakieś szmery, chlupanie wody, stapania miarowe... Gawryłko już za grzywę chwycił kłusaka, gotów nań wskoczyć...

Płynię ku nam chórally śpiew:

Na „Kapkazie” ja się „chra bro” bił,
Mnie, junaka, połowy sąd sądził,
Był ja srogo pokarany,
Ale z armii nie wygnany,
Sąd mi przebaczył!
Miłościwy sąd!

Z tą pieśnią, mającą lepszą melodyę, niżli treść, przez zalany wodą gościńiec maszeruje oddział żołnierzy. Za nim wloką się „powózki” pocztowe. Jeden z pocztylionów kpi:

— Gawryłko, opoju! z ciebie kuczer sławny! U ko-

laski dyszel złamałeś na drodze, jak stół, gładkiej. — Patrz nosa swego! nie tykaj cudzego! — odcina się Gawryłko.

Oficer, powracający z jakiejś obławy karnej, opowiada nam, że nocą ze „swoimi ludźmi” biwakował wśród kęp. Zaprasza nas do swojej kibitki i szczęśliwie dowozi do Irkucka.

Zastajemy panią Michałową we łzach i rozpacz. Uspokaja się przecież, widząc, żeśmy bez szwanku wyszli z tej przygody, w dobrem zdrowiu i w doskonałych humorach. Choćby poczęści sama namawiała na tę wycieczkę, uważa za swój obowiązek moralizować:

— Doprawdy! wstyd, aby ludzie stateczni, z głowami, przyprószonymi siwizną, tak lekko-myślnie zdrowie i życie narażali dlatego, aby kilkanaście godzin wcześniej przeczytać listy i dzienniki. To nie do darowania.

— Pani przebaczy nam jednak — mówię pokornie.

— Muszę! — śmieje się pani Gruszecka. Po chwili pyta nieśmiało:

— *Tygodnik Ilustrowany* macie?

— A jakże! z całego kwartału!

Wraz z tymi, którzy do kraju wracać nie mogli, i roczniki *Tygodnika Ilustrowanego* pozostały na Syberii.

W dziesięć lat po owej wycieczce z Irkucka kreślę te słowa.

W wyobraźni mojej, niby w kalejdoskopie, przesuwają się ryciny, które pomieścił ów komplet *), z takim trudem zdobyty.

*) Pierwszy kwartał r. 1871.

Był tam portret Kopernika, był Jan Sobieski, zasadzający drzewa w Wilanowie, był rysunek genialnego Matejki, był Stefan Batory z historyografem swoim Heidensteinem...

Przy tych wspomnieniach, zdaje mi się, jakbym słyszał szum skrzydeł husarzy, lecących do ataku pod Wiedniem.

Zdaje mi się, jakobym patrzył na lśniące, drogocenne kity kołpaków bojarskich.

Złudzenia! złudzenia! złudzenia!...

Pierzchy!

Rzeczywistością były tylko — na papierze ślady łez wygnańca...

Halicz w gub. kostromskiej, d. 1 lipca 1881 r.

Nowy dyrektor krakowskiego Towarzystwa muzycznego.

Krakowskie Towarzystwo Muzyczne pozyskało w ostatnich czasach nowego dyrektora w osobie p. Feliksa Nowowiejskiego, młodego, ale mimo to bardzo już, szczególnie zagranicą, głośnego kompozytora. Urodzony w Warmii w 1877 r., Nowowiejski zaraz po ukończeniu gimnazjum poświęcił się ulubionym studjom muzycznym w Berlinie.

Wychowany w niemieckiej szkole zdała od rodziny, a popierany przez profesorów niemieckich,

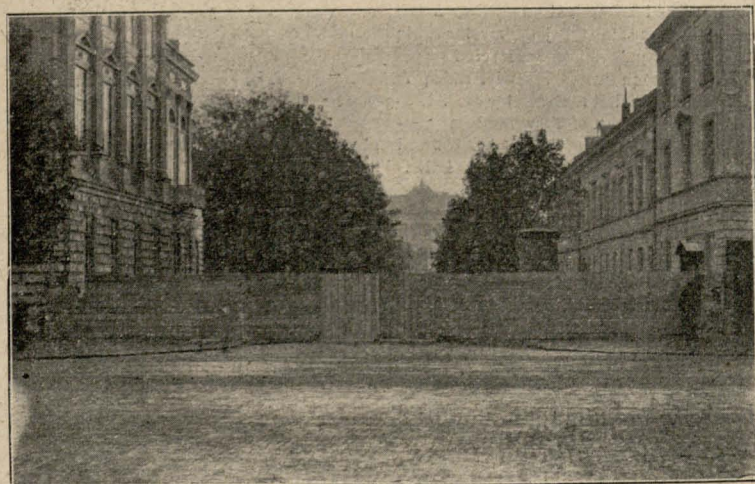
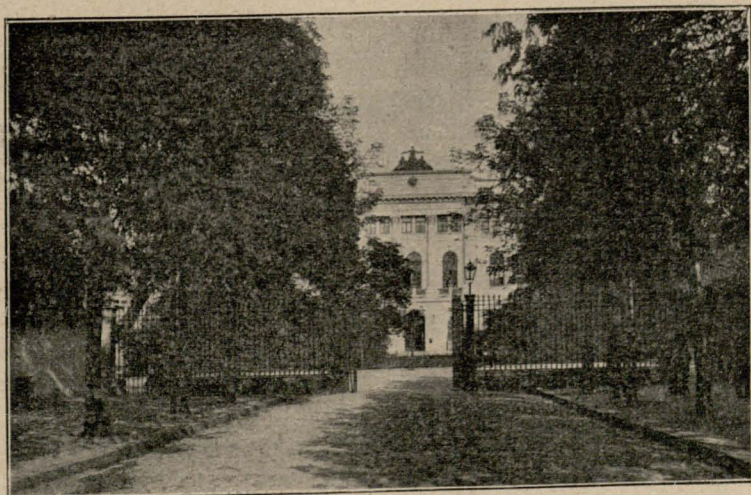
którzy cenili w nim pracowitość ogromną i pierwszorzędną talent kompozytorski, Nowowiejski nie zważał sobie z początku sprawy z obowiązków, jakie nań polskie jego pochodzenie nakładało. Dopiero, kiedy sława jego, jako wielokrotnego laureata, rozniosła się po całych Niemczech, zetknął się on z wybitnymi przedstawicielami polskiej kolonii berlińskiej, pod których wpływem obudziło się w sercu Nowowiejskiego uczucie polskie tem gorętsze, że dotąd długi czas uśpione. Z zapałem zabrał się Nowowiejski do studyów nad polską melodyą ludową, a wkrótce ukazał się także rezultat tych studyów w postaci utworu p. t. „Swaty polskie”. Obecnie wykonywają zagranicą nowy wielki utwór Nowowiejskiego, a mianowicie oratorium „Quo vadis?”, które w przyszłym miesiącu wykona także filharmonia amsterdamska.

Tak więc w osobie Nowowiejskiego pozyskał Kraków siłę zupełnie pierwszorzędną. Wkrótce po jego przybyciu do Krakowa miałem sposobność osobistego poznania go i porozmawiania z nim chwil kilka.

— Co skłoniło pana do zamiany świetnego



TERYTORYUM SPORNE.



Zarząd uniwersytetu warszawskiego zajął samowolnie uliczkę, która prowadziła z Krakowskiego-Przedmieścia do bramy uniwersyteckiej. Ilustracje nasze przedstawiają bramę uniwersytecką i oparowanie, zamykające obecne terytoryum sporne między zarządem uniwersytetu a magistratem. Ciekawy to przyczynek i dokument do rządów miejskich!

swego stanowiska w Berlinie na skromny bądź co bądź posterunek w Krakowie? — zapytałem go w ciągu rozmowy.

— Chcę wchłonąć w siebie atmosferę Krakowa, atmosferę Polski. Chcę poznać ducha polskiego, literaturę polską i poezję. Spędziwszy całe życie na obczyźnie, nie mogłem poznać Polski tak, jak tego zawsze pragnąłem. Bo ja kocham Polskę—dodał po chwili z zapalem—i tylko dla polskiej muzyki chcę pracować.

— Jakież program działalności ułożył pan sobie dla Krakowa?—zapytałem dalej.

— Przedewszystki e m zorganizuję orkiestrę i chór, głównie zaś chór. Chciałbym go stworzyć potężnym, tak z około trzystu śpiewaków, aby w Polsce nauczono się wreszcie cenić produkcje chórne.

— A koncerty?

— Przedewszystkiem utwory muzyków polskich. Dam koncert Żeleńskiego, potem z kolei Różyckiego, Karłowicza, Fitelberga i innych. Wogóle staraniem mojem będzie, aby wszystko polskie jak najrychlej wydostało się na estradę koncertową.

VOTUM SZKOŁY POLSKIEJ.



Pod przewodnictwem prefekta, ks. Marcina Szkopowskiego, uczniowie szkoły polskiej generała Chrzanowskiego udali się na wycieczkę do Częstochowy w celu zwiedzenia wystawy, oraz Jasnej Góry. Przy tej sposobności w kaplicy Cudownego Obrazu złożyli votum w postaci obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, którego podobiznę podajemy wyżej.

czy wymownie, jak niestrudzonym pracownikiem na niwie rolniczej i społecznej był zmarły w siłę wieku działacz, w którym rolnictwo nasze traci



siłę niepoślednią. A zająca pamięć o nim przechowa się przez szereg lat, teraz, kiedy zbraknie go na wielu posterunkach, i potem, kiedy z prac jego korzystać będą następcy.

WITOLD KS. CZETYRTYŃSKI zmarł w Daszowie, majątku rodzinnym, w tygodniu ubie-



Konkurs poetycki „Sfinksa“.

Na konkurs na powieść poetycką imienia Juliusza Słowackiego, ogłoszony przez redakcję *Sfinksa*, nadesłano sześćdziesiąt osiem utworów. Sąd konkursowy, który stanowią: Bronisław Chlebowski, Ignacy Chrzanowski, Aureli Drogoszewski, Ignacy Matuszewski, Władysław St. Reymont, Józef Weysenhoff, oraz redaktor *Sfinksa*, Władysław Bukowiński, przystąpił już do swych czynności pod przewodnictwem prof. Bron. Chlebowskiego. Obowiązki sekretarza objął redaktor Wł. Bukowiński.

ZMARLI.

STANISŁAW WRONSKI, ziemianin, radca Dyrekcji Główniej T. K. Z., redaktor *Gazety Rolniczej*, zmarł w Warszawie, w wieku lat 45. Po ukończeniu Instytutu Rolniczego w Puławach, poświęcił się rolnictwu praktycznemu, nie zaniedbując jednak studiów teoretycznych. W r. 1879 ukazała się pierwsza jego praca z tej dziedziny, dotycząca doniosłej sprawy uprawy łubinu. Od tam zamieszczał ciągle swoje prace w *Gazecie Rolniczej*, a wiele bardzo artykułów w *Encyklopedyi Rolniczej* było jego pióra. Od lat diesięciu zajmował ważne stanowisko redaktora *Gazety Rolniczej*, na które powołany został jednomyślną wolą właścicieli. Był on jednym z założycieli wyższych kursów rolniczych w Warszawie, radcą T. K. Z., członkiem Komitetu Centralnego Towarzystwa Rolniczego, prezesem Tow. Melioracyjnego, członkiem Komisji Bibliograficznej Akademii Umiejętności itd. itd. Ten niepełny spis świad-

głym. Po powrocie z wygnania na Syberii, dokąd został wysłany za udział w wypadkach 1863 r.,

odbywał poważne studia malarskie w Monachium, a zainteresowany specjalnie mozaiką drzewną, uczył się w tym kierunku, wreszcie drogą mozolnej pracy doszedł do wynalazku maszyny, która okazała się najlepszą ze wszystkich, używanych dotąd dla inkrustacji. Zmarły założył następnie u siebie w Daszowie pracownię mozaiki, stołarnię i tokarnię, w których wykonano szereg prac wysokiej wartości artystycznej, wystawionych po raz pierwszy na wystawie dzieł sztuki ornamentacyjnej w Towarzystwie Zachęty w Warszawie w r. 1888-ym, gdzie przyznano im pierwszą nagrodę. O wyrobach daszowskich pisał obszernie i nasz *Tygodnik* w n-rze 31 z r. 1907. Pracę swoją prowadził zmarły do końca życia, pozostawia też po sobie pamięć człowieka, który dokonał rzeczy dobrej i pożytecznej.

DR. MAKSYMILIAN WARSZAWSKI. W siłę wieku, licząc bowiem lat 47, zmarł w Warszawie



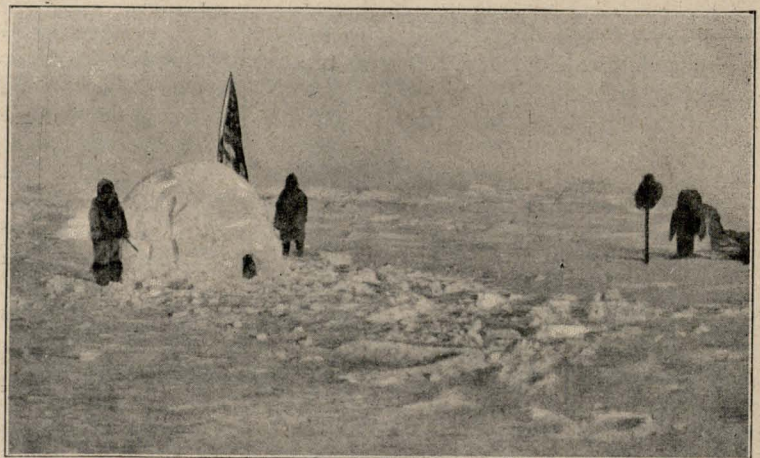
dobry lekarz i zający człowiek. Dr. Warszawski był jednym z tych coraz mniej licznych, niestety, Żydów, którzy są wiernymi, oddanymi synami oj-

czyzny polskiej. Skromność, sumiennosc i uczynność cechowały go, jako lekarza, w ciągu 23-letniej praktyki, poświęconej chorobom kobiecym i położnictwu. Wszystkie pisma lekarskie nasze drukowały jego prace, stale zaś był członkiem redakcji *Kroniki Lekarskiej*. Zgon jego dotyka nie tylko rodzinę najbliższą, ale odbija się żałośnie echem w sercach licznych przyjaciół, którzy bliżej znali tego zacnego człowieka. Cześć jego pamięci!

Z ruchu muzycznego w Ameryce.

W sezonie tegorocznym zanotować należy triumfy orkiestry drezdeńskiej i koncerty Paderewskiego, mającego zresztą ogromną sławę w Ameryce. Koncertów i przedstawień muzycznych jest tutaj dziennie do 50, i wszystkie cieszą się powodzeniem. Sezon operowy rozpoczął się „Elektrą“ Straussa i „Arnidą“ Glucka d. 15. IX 1909, w partyi tyt. z p. Tetrzini, Selmą Kurz (która z op. wiedeńskiej udało mu się pozyskać), Carusem, Didurem i Burianem. Panie: Gadska, Kaszowska i p. Didur, Polacy, dokazują cudów swymi głosami i bajeczną szkołą, a p. Didur, znakomity śpiewak, pierwszorzędnny bas op. Metropolitan, ulubieniec publiczności nowojorskiej, zawarł 3-letni kontrakt z tą operą. Mówiłem z Casti-Castazza, kierownikiem, i p. Hammersteinem, dyr. opery Manhattan w N. Jorku, znakomitymi znawcami muzyki, dlaczego nie wystawią polskiej opery „Halki“ Moniuszki, „Konrada Wallenroda“ Żeleńskiego lub innych przepięknych i melodyjnych. Odpowiedzieli mi, że, jeżeli będą mieli dobre tłumaczenie w języku angielskim, gotowi są tę sprawę rozpatrzyć. Gdyby tak kto podjął się przetłumaczyć „Halkę“ Moniuszki lub „Konrada Wall.“ Żeleńskiego na język angielski, położyłby tem niemałą zasługę, a Amerykanie lubią polaków i gdyby zobaczyli wspaniały, pełen majestatu i tryumfu wybór mistrza z „Konrada Wallenroda“ W. Żeleńskiego lub ochocze go, Polskiego mazura i góralskiego z „Halki“ Moniuszki, ostąpieliby chyba z podziwu, jeżeli nad polką-tryndulką z „Prodany Nevęsty“ Smetany rozplywają się, wywołując ją do nieskończoności

BIEGUN PÓLNOCNY.



Fotografia d-ra Cooka, przedstawiająca jego i dwóch jego towarzyszy Eskimosów, obok budy ze śniegu, w której spędzili dni 21 i 22 kwietnia 1908 roku i na której zatknęli sztandar gwiazdzisty Stanów Zjednoczonych.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe** **J. FRUZIŃSKI.**

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

„**ŚMIECH**” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że **WODY MINERALNE SZTUCZNE** wyrobu **WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“** ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu Zarząd.

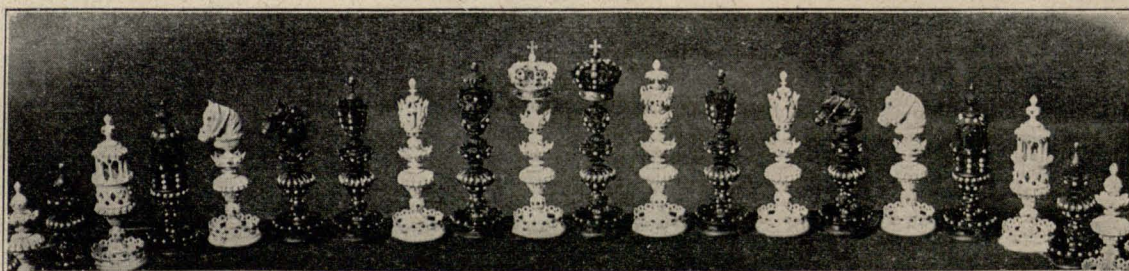
Składy na Meble
„SYRENA”
Krak. Przedm. 38

Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie **S. J. Czepelewskiego** Ządać wszędzie.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne sprzedają wszędzie.

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE
I. FILIŃSKI Marszałkowska 153

BIELIŻNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.



Artystyczne szachy, rzeźbione w kości słoniowej i hebanie z inkrustacjami, wykonane przez K. Plągego i wystawione w Częstochowie.

E. JELEŃSKA:

Grób Julii.

Siedzę na placu dei Signori w Weronie i odpoczywam po trudach zwiedzania i po szalonym upale.

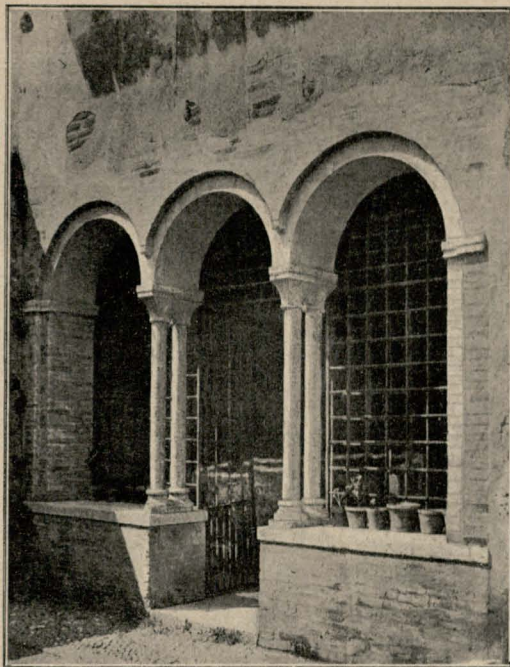
Dokoła wielka cisza. Bawią się dzieci przy pomniku Dantego, i czasem któreś głośniej zawoła. Gołębie gruchają i zlatują się gromadkami na bruk, szukając okruszyn. Czasem cyklista przemknie, jak cień, po gładkich taflach kamiennych. On jeden przypomina, iż w XX wieku żyjemy.

Te same stoją gmachy: Palazzo della Ragiona, którego fundamenty założono w 1183 roku, a potem tylko wspinały krużganek dodano w podwórzu. Trybunał, również stary, pałac możnych Skaligerów, którzy od połowy XIII w., podestami obierani, Weroną rządili dzielnie, wprowadzili ją w grono państw włoskich i zapewnili jej półtora wieku szczęścia i świetności. Taż sama wieża wysoko w wieczorne niebo się wznosi. Ten sam na na niej zegar wydzwania godziny. Te same fontanny sączą strumienie czystej, świeżej wody. Tuż obok, bliźutko, na rynku della Elba, na tem demokratycznym i ruchliwym centrum Werony, gdzie przez dzień cały trwa pod straganami handel i targi, stoi jeszcze pręgierz i wisi łańcuch, do którego przykuwano zbrodniarzy, stoi jeszcze trybuna, skąd wygłaszano wyroki. A dalej śpią w grobowcach książęta ze Skaligerów rodu, wznosi się w wąskiej uliczce „pałac” możnych Capulettich, pałac wysoki, wązki, ponury, raczej do twierdzy podobny. Adyga mętnemi wodami oblewa mury miasta, i przeglądają się w niej, jak dawniej, zębate baszty Castello Vecchio, starorzemieńskie zwaliska areny, średniowieczne kościoły i pałace.

Wszystko, jak dawniej.

I mimowoli, gdy tak siedzę na cichym placu dei Signori, myśl moja odrywa się od obecnej chwili, od rzeczywistości, od dnia dzisiejszego, płytkiego, szarego, nudnego dnia, od własnej istoty i własnych trosk, a przenosi się—o jakże łatwo w tem otoczeniu się przenosi!—o pięć wieków wstecz. I widzę.

Oto ze starego zamku, wznoszącego nad brzegiem Adygi dumne swe baszty, sunie pochód podesty. Pewnie uroczystość jaka: może turniej, może przyjęcie obcego poselstwa, może nabożeństwo dziękczynne, lub rocznica jakaś w pięknej romańskiej katedrze. Jadą na przedzie trębacze, powiewa chorągiew, idą pacholki, w barwne szaty przybrani; hełmy



Grób Julii w Weronie.

i zbroje na słońcu się iskrzą, i sam podesta na białym koniu nadjeżdża. A dokoła dworzanie, mieszczańskie możne rody, poważni mężowie, matrony w szatach wspinałych, panie, od klejnotów i brokarów lśniące, dziewice w bieli. I oto ona—Julia Capuletti.

Na uroczystość z rodzicami przybyła, jaśniejąca pięknnością i młodością, gdyż „czternastu wiosen jeszcze nie przeżyła” i jest, jak pączek, co już, już listki swe otwiera do słońca, do życia. Przybyła z rodzicami na uroczystość, lecz wie, czuje, iż coś tu na nią czeka, coś, czego i ona całą swą duszą gorącą wyczekuje, co jej we krwi gra, co jej do ucha słodkie słowa szepce, co płomieniem przelatuje po jej ciele i warem ją od stóp do głowy oblewa, coś, do czego się prze i tęskni cała jej istota. I nagle spostrzegła Romea.

I dość jednego spojrzenia, dość kilku zamienionych słów. Jego jest na życie i śmierć, na wieczność całą. „Ja losy moje u stóp twoich złożę i w świat za tobą rzucę się odważnie”.

„Dziwny miłości początek, przez Boga!”

Spadł piorun, uderzył grom, strzała, wypuszczona z łuku Amora, trafiła w samo serce. I wystrzelił ku niebu cudny miłości kwiat.

Miłości nad śmierć silniejszej i nad grób.

Bo oto, po pięciuset latach, miłość ta żyje jeszcze—i w nas wszystkich się odzywa. I oto wędrujemy my, przybysze z czterech świata krańców, do grobowca Julii. I, stając

przed pustym jej sarkofagiem, pokłon oddajemy, pokłon głęboki, tkliwy, pokłon, uszanowania pełen i czci—nie jej śmiertelnym szczątkom, które oddawna gdzieś w proch się obróciły i znikły, lecz Miłości.

Tej wielkiej Miłości, co to nad śmierć silniejsza i nad grób.

Tej Miłości, co słabą dziewczynę w mgnieniu oka zamienia w bohaterkę i kładzie jej w usta te mężne słowa: „Wszystko, na wspomnienie czego wprzód drżałam, spełnię bez trwogi, spełnię bez wahania”, co daje jej siłę do wychylenia strasznej czary. „O, mój Romeo! na zdrowie twe piję!”

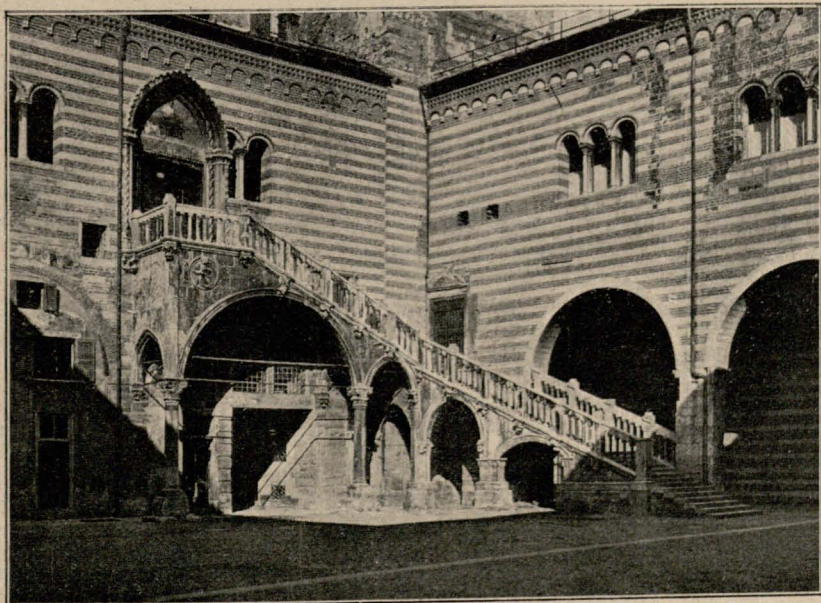
Tej Miłości, która płytkie, banalne ludzkie istnienia, gdy na nie zstąpić raczy, opromienia takim blaskiem i wielkością, iż zbliża je do Boskiego tchnienia, które jest jedynym na ziemi szczęściem doskonałym, które jest sprężyną, poruszającą świat cały, osią jego i celem. Pokłon jej oddajemy.

Dziś sarkofag Julii stoi pusty, omszały i wyszczerbiony, w miejscu, gdzie dawniej był cmentarz franciszkański i gdzie kościółek się wznosił. Teraz cmentarza ni śladu, mury klasztorne obrócone na mieszkania i składy, i tylko wielki, ordynarny szyld ogłasza, że tu się znajduje „Tomba di Giulietta”. Baedeker zaś pisze w swej książce, że wszystko to się przyczynia do zawiedzenia najbardziej romantycznej wyobraźni.

A jednak—nie. Dla wyobraźni, zapewne, niema tu nic. Lecz dla serca—jakże wiele! Bo pusty sarkofag zarzucony jest kwiatami i mnóstwem kartek wizytowych tych, którzy przychodzą tu składać hołd wielkiej miłości. Bo dokoła schną wieńce, u jej stóp rzucone. Bo księga, gdzie się nazwiska jej wyznawców zapisują, gruba jest i pełna.

Julia, śliczne dziewczętko, przeistoczona nagle w tragiczną kobietę, umarła. Lecz jej duch żyje i w duszach naszych się odzywa,

Ptaszki świergocą, i drzewka się zielenią w małym ogródku który grób Julii otacza, w wazonikach kwitną pelargonie i fuksye, pająki rozpinają przędę swą wśród kolumn portyku. Ciszta tu wielka i smutna, gdyż smutne jest wszystko na tej ziemi, ale nie smutek śmierci. Bo z pustego grobowca, z kartek i wieńców i z grubej pamiątkowej księgi idzie głos, mówiący z pokolenia w pokolenie: „Byłam, jestem i będę”. A rozmiłowany duch Julii mu wtóruje. I chociaż złoty posąg, przyobiecany jej przez zjednanego wreszcie wroga, może nigdy nie był ulany, jej pomnik będzie wieczny. Wystawiony jest bowiem w sercu milionów.



Podwórzec dawny Izby handlowej w Weronie.



Pałac rady miejskiej w Weronie.

— Upadam do nóg jasnych państwa—rozpoczął pierwszy rozmowę, wróżąc sobie z uśmiechów, że oboje mu radzi—ot, z garści prochu i funta śrutu, co dali, jaką gromadę na kuchnię niosę. Dubelty ważne, oblane, samo to masło...

Z lubością połykając ślinę, ważył w rękę obzarte, do łódek podobne ciała dubeltów, z których tłuszcz jesienny rzeczywiście ociekał i mazał się z krwią na czarno-brunatnych piórach.

— A to co?—zapytał Kazimierz, biorąc za większego ptaka, jasno-pstrokatego, z białymi końcami skrzydeł.

— Widno, panicz nie z naszych stron. Pardwa to jest—i u nas już rzadka. Ot, patrzaj pan, od cieciorki jaśniejsza i bardziej ryża. A ten, z wielkim rzyżym chwostem, to kogut od jej, gargatun. Kiedy stado zerwie się, on zawsze naprzód—gar-gar-gar,—a samki za nim. Taki on frant!

Kazimierz rozpatrywał uważnie piękne upierzenie pardw, litewskich bazantów.

— Zimą to one bieleńkie, a końce skrzydeł za to farbowane.

Kazimierz badał oczyma strzelca, czy nie maluje pardw na biało, dla poezji. Ale Krystyna potwierdziła:

— Tak, pardwy bieleją na zimę.

— Ot nasza grabini tak już pardwy zna i zna, że Jurko zawsze prawdę mówi. Kiedy państwo polować będziecie razem na pardwy, wspomnijcie starego.

— Prawda!—odezwała się radośnie Krystyna do Kazimierza—będziemy razem polowali. I to jeszcze!

Nie trzeba było więcej chytremu dworakowi do odgadnięcia porozumienia między parą młodych. Przybrał swój wyraz twarzy najpocześniejszy, co zwiastowało w nim zwykle nastrój twórczy:

— Bywało, nieboszczyk księżę Mikołaj, kiedy wyjdzie strzelać na mszary, tak już z żonką. Ochota u niego lepsza, mówił, na ptaszki.

— Oj, Jurku!—zaśmiała się Krystyna—zdaje mi się, że na poczekaniu wymyśliście, żeby nas swatać? Ale to nic—i tak już jesteśmy zaręczeni.

— Tak cóż ja zmyślił, jasna grabini?... Daj, Boże, szczęśliwie!

Nie przegadać było Jurka. Mówił dalej:

— Tak mnie i zdawało się już w Wilnie, powiedz panicz?

— Muszę przyznać, że Jurko był pierwszy, który mnie odgadł—potwierdził Kazimierz.

Lejtan przyglądał się parze narzeczonych ze smakowitem upodobaniem.

— Ot, kiedy żenić się, tak już takim panom...

Wytrzymali pochwałę, nie mrużąc oczu. Zapytała Krystyna:

— A wy, Jurku, nie żeniliście się podobno nigdy?

— Co mnie żenić się było, jasna grabini? Knieja mnie żona, a kochanka fajka.

Piętnaście lat miawszy, wzięli na psiarka do pałacu, a tak już od tej pory po świecie ochotnikiem chodzę.

— Dobrze wam z tem?

— Wiadomo, póki te nogi niosą, idziesz, panieńku ty moj, kraj znający, a taki jeszcze nie ze wszystkim. Gdzie dalej, gdzie kilka lat nie byłeś, patrzysz: jezioro mniejsze—podeszło, znaczy. Dawajże po brzegach szukać bekasów—i najdujesz. Trafisz znowu do wioski znajomej—nową chatę pobudowali. Znałeś dziecko przy ziemi, aż widzisz, chłop wielki, wasy nastawiwszy, z siekierą do lasu idzie. A gdzie starego kuma na mogiłki ponieśli—i śladu niema. Świat piękny, panieńku ty moj, nowy ciągle i piękny.

— I myślicie, że zmienia się ciągle na lepszy?—rzekł Rokszycki, zaciekawiony przez filozofię starego strzelca.

— Żeb' taki i pozostał, dobry będzie.

Krzyczeli ludzie jacyś tamtego roku: źle na świecie. Nieprawda. Miej tylko nogi i ręce zdrowe, a w sobie duszę, Bogu śpiewającą, tak i nie poczujesz, że życie złe. Skręcił mnie kiedyś Czarny na tokach głuszców, że dwa miesiące grzbietu rozprostować nie mogłem, to ja się tak modlił, bokiem leżący: Zegnij mnie, Panie Boże, w kruk, jeżeli taka już święta wola Twoja, ale pozwól choć nogami tę ziemię zamiatać i uszami słuchać, co las mówi, i oczami skowronka w niebie dogonić, a już ja tobie mój rozek, srebrem okuty, po księciu Hieronimie na obraz Matki Twojej w Ostrejbramie zawieszę. Tak i udał się handel święty: rozek tam wisi, a Jurko nogami po ziemi chodzi, chodzi nieustający.

— Mówiono mi, żeście całą Litwę schodzili piechotą? A wyszliście też kiedy i poza granice?

— I do Warszawy książe wozili, i do Petersburga... I w Paryżu był.

— W Paryżu?! Jakże się wam podobał?

— Cóż... domy i domy, a miejscami śmierdzi.

— Nie chcielibyście tam mieszkać?

— Ot, gdzie znalazłeś, panieńku ty moj! U nas, jak słońce wstanie, tak już wiadomo—i dla mnie. Tam jego i nie podzielić między te wszystkie robaki, co przez ulice mrowiem leżą, a o pięknym Bożym świecie nie wiedzą.

Odszedł gaduła uśmiechnięty. Niknął na drodze między cieniami olch, szarzał, jak ptak, uciekający na piechotę, jak cząstka ziemi, wietrzykiem pędzona, jak pyłek...

— Temu też dobrze—rzekła za nim Krystyna—bo ma w sercu umiłowanie.

XXVIII.

Zaledwie pogłoska o nowych zaręczynach zaczęła się rozpowszechniać, już oboje narzeczeni zniknęli z oczu gości, biesiadujących w Wiszunach, niektórych aż do oktawy. Krystyna powróciła z panną Zubowską końmi do Ponikszy, a Kazimierz sam pojechał na

bliższą stację kolei żelaznej. Pośpiech tych wyjazdów pozostawiał za sobą wiele nie zaspokojonych ciekawości, jak się to stało, na kiedy ślub, która ze stron bardziej zakochana? Nowina z piekarni, gdzie ją zapewne zaszczepił Jurko Lejtan, przeniknęła do dworu. Ten i ów zauważył to i owo, ale potwierdzenia urzędowego nie było. Wyjazdy przyśpieszone Chmary, Hylzena i domniemanych narzeczonych były barwnymi cegiełkami w rękę wiszuńskich gości, którzy, jak dzieci, chcieli z nich ułożyć domek, tymczasem zaś cegiełki układały się przekornie w znak pytania.

W najfałszywszej pozycji znalazł się pan Apolinary, wypytywany o projekty siostrzeńca, jako wuj i niby moralny zwierzchnik. Odpowiadać tajemniczo, mało co wiedząc, pan Apolinary nauczył się już w szkole politycznej—to byłaby fraszka—ale tym razem był mocno niezadowolony z dyskrecji Kazimierza i tak serdecznie ciekawy, że aż—dyabli brali. Zamierzczyła mu nawet przed oczyma na parę dni kwestya polsko-litewska.

Dopiero nazajutrz po wyjeździe Rokszyckiego wpadł pan Apolinary na trop niejakich powiadomień w rozmowie z panem Hieronimem o przedmiocie wcale obcym, bo o tartaku parowym, który niemiecki przedsiębiorca budował w okolicy.

— Ja mojego lasu sprzedawać nie myślę—mówił Hieronim—ale, kto musi, temu wygoda. Pan Kazimierz mógłby pomyśleć o spłowaniu starodrzewu z Auszry.

— Z Auszry? tej, w której polowaliśmy?

— A już tej. Wszak to las pani Krystyny.

— Dobrze—to musieliby być po ślubie.

— A im czemu długo czekać, kochany? Są zaręczeni.

Pan Apolinary przełknął ślinę, rozważył stanowczość twierdzenia Hieronima. Odezwał się dyplomatycznie:

— To wiem, dobrodzieju mój. Ale tak wylecieli stąd prędko, że ani o terminie, ani o żadnych układach... Może coś słyszałeś, bracie Hieronimie?

— Zaręczeni są; to słyszałem.

— Od nich samych?

— Choćby i od nich.

— Dlaczegoż nie gadasz, dobrodzieju mój?

— No, nie prosili.

— No... nie prosili, ale powiedzieli. My, jako krewni i przyjaciele, musimy trochę myśleć za nich, bo to młode waryaty...

— Rób, jak chcesz, kochany. Mnie zdaje się, że oni sami sobie poradzą.

— Tak się to mówi: sami poradzą! Ja już dawno radziłem Kaziowi... tylko w ostatnich dniach mało z nim rozmawiałem, bo ileż tu mieliśmy ważnych spraw innych! We wszystkim, ile mogłem, czynny byłem sercem i ręką.

— Ot, za serce to dziękuję, bracie Apolinary.

Uścisnęli się krewni po raz setny. (DCN)



Oparty o ramy balkonowe, śpiewa swą pieśń łabędzią.

STANISŁAW BAGIEŃSKI

BOHOWITYN:

Babie lato.

Ujął jej rękę, gdy chciała zapalić lampę.
— Czy pozwoli mi pani zgasić tę świecę?
Spojrzała na niego zdziwiona:

— Chciałbym pani powiedzieć coś... co wymaga pewnych dekoracji... księżycowych spojrzeń... wstawiennictwa gwiazd — usiłował żartować. — Blask światła księżycowego ma własność wywoływania we mnie momentów, dawno pogrzebanych, czyniąc je obecnymi. Tyloletnia nasza znajomość usuwa chyba wszelką niedyskrecję z mej prośby.

Stała przez chwilę o czemś zamyślona, podobna do babiego lata. We włosy jej, koloru liści jesiennych rudo-czerwonych, wplotła się srebrna pajęczyna. Czyste czoło i brwi ciemne oświetlały topazowe, o zimnym, bardzo błyszczącym połysku oczy, gdy dolna część twarzy nosiła już cienie zbliżającego się zmięczenia.

Zgasiała świecę i usiadła na otomanie tuż przy drzwiach, skąd, ujęta w ramy drzwi balkonowych, płynęła północ.

Światło gwiazd rozszerzało granice ogrodu w nieskończoność... Smutno i tajemniczo mówiła dal... Czuwające moce życia dyszały niepokojąco w oprawie nocy srebrnej.

— Przedewszystkiem proszę mi wytłumaczyć, co znaczy obecność pana o tak późnej

godzinie u drzwi mego mieszkania. Przestraszył mnie pan.

— Przyjechałem już późnym wieczorem. Tu dopiero dowiedziałem się, że pani jest w teatrze. Czatowałem na chwilę powrotu, i stąd to spotkanie u drzwi. Dwa lata nie widziałem pani... Wróciłem nie zachęcony, samowolnie.

— Aby mi powiedzieć coś, co wymaga poetyckiego ryzstunku. Czy po tylu latach znajomości mamy jeszcze coś do powiedzenia sobie? — spytała głosem zalotnym, śpiewnym i zimnym, jak szept potoku w szarugę jesienną.

— Kochałem panią przez lat szesnaście. Drgnęła nagle ożywiona, jak kłown, wypchnięty na arenę cyrku.

— Niech pani nic nie mówi—błagał—zanim nie wypowiem wszystkiego. Szyderstwo spłoszy jasność mojego poznania, i znów zabłądzą we własnej duszy. Kochałem panią przez lat tyle, jak neurastenik, ja, człowiek o żelaznych nerwach. Na morzu widziałem panią, idącą przed okrętem daleko... daleko... W lesie, w ramach liści złociły mi się włosy pani.. Zaledwie się złożył do strzału, wytrawny myśliwy, opuszczałem strzelbę, bo w miejscu ofiary błyszczały mi złe oczy pani. Uwodziłem kobiety, a wszystkie miały takie same ramiona. Była pani moją kochanką przez lat tyle, kochanką mojej wyobraźni, zawsze głodnej, pożądającej, oszukiwanej. Jak rafy na

morzu Czerwonym, przykuwające do siebie na wieki zbliżające się zanadto niebaczne okręty, przykuła mnie pani beznadziejnością. Nigdy z ust pani nie słyszałem słowa zachęty. Wabiony spojrzeniem, odpychany szyderstwem. Dlaczego?... Wiem, że życie pani nie było wolne... od...

Gestem dumnym podniosła głowę.

— Ach... proszę mi przebaczyć. Wiem, że nie mam prawa o tem mówić. Był to odruch wielkiej męki lat tylu. Więc dlaczego?.. Nie liczyła się pani nigdy ze szczęściem innych, śmiało odbierając mężów kobietom. Więc chyba nie dlatego, że była pani przyjaciółką mojej żony?

Wysłuchiwała się w brzmieniu słów, na wpół przegięta, przyczajona, jak pantera na polowaniu.

Lata całe oddalała to wyznanie. Ta spóźniona pieśń miłosna miała być ostatnim etapem mijającej młodości, łabędzim jej śpiewem.

W miłości tego pięknego człowieka, drażnionego subtelnym wyrafinowaniem, czuła upór i siłę. Wiedziała, że, skoro ona tego zechce, przyjdzie i mówić będzie, bo czara była nie wypita.

Wróci po czarę.

I teraz, kiedy wieczorna gwiazda jej już się zapalała, wrócił, aby mówić o jutrzni, aby raz ostatni odczuć wstrząśnienia burzy wiosennej i pogrzebać na wieki urok życia.

Stała się zimną, rozważną.

Za chwilę zamieni rojoną rzeczywistość na prawdziwą, wyrzuci ostatni skarb z pokładów uciekających wartości życiowych.

Postrzegający rozum wyosobnił uczucie. Nie dowierzała powierzchni, stworzonej jego słowami, a wsłuchiwała się w myśl, splecioną z wiekistej prawdy i odwiecznego kłamstwa.

Prawdą był pierwszy imperatyw instynktu: gorące pożądanie. Kłamstwem szaty, w które się ów instynkt oblekał.

Rozróżniała je z subtelną wprawą. Różne wydarzenia z lat przeszłych, widziane w coraz to nowych oświeceniach, pozwalały jej doskonale oryentować się w dwoistej ocenie.

Roztaczał wspomnienia przeszłości, których mgławicowe już ślady wskrzeszał jedne po drugich, budząc w niej słodką melancholię jesienno-zachodnią, o zwarzonych kielichach kwiatnych i zwiędłych liściach.

— Czy pamięta pani tę noc czarną, jakby podziemną, w której błyskawice ciskały do okien nagłe spojrzenia?... Miała pani luźną, żalobną suknię i burzliwe włosy rozsypane. Wziętem rękę pani i położyłem je sobie na ramionach. Chciałem przyciągnąć panią do siebie. Lekki grymas niechęci ostrzegł mię.

— Usta mię bołą od pocałunków... jesienno-wiatru — powiedziała pani, pokazując na swe usta mocno kolorowe i jakby zgniecione, z tem demonicznym, niewinnym spojrzeniem, które zacierało najohydniejsze kłamstwo. Cierpiełem męki szalonej zazdrości.

— A pamięta pani te srebrne noce z girlandami gwiazd, kiedy pani lubiła słuchać mojego śpiewu?... A i tę noc cudną... straszną. Łuny pożaru... strzały... Siepacze ścigają... Padają przechodnie... Z bocznej ulicy wypada młodzieniec piękny, jak noc południowa. Orle oczy szukają ukrycia... Przystanął przy nas na mgnienie oka, bo oto barbarzyńca na rowerze już go ima.

— Proszę strzelać! — krzyknęła pani. Zaledwie te słowa przebrzmiały, padł strzał... Ręka mi nie drgnęła. Rower leżał na drgającym cielem. Młodzieniec znikł, jak sokół, puszczony na wolność. Przycisnęła pani moją rękę do swej piersi, i lecieliśmy przez krwawe miasto z gorąco bijącymi sercami, spleceni początkiem szatu, szalonych, błogostawionych dni. — I mówił dalej. Mówił długo...

Srebrzyły się łąki wskrzeszonych marzeń, nie dokończonych powiedzeń, kłamliwych obietnic, wskrzeszone cienie ich samych z epoki czarownic, minionej młodości.

Wspomnienia miały zapach gdzieś w oddaleniu kwitnących konwalii, zabierały pamięć o wrażeniach przebrzmiałych, jak się zabiera cudną woń na zawsze.

Napływały elegijne rozrzewnienia. Odbicia ubiegłych zdarzeń powtarzały się wciąż w niej, jak odruchowy motyw wyobraźni, zmartwychwstałe ogniwo grupy kojarzeń uczuciowych. Serce jej zabiło żywo.

Wszystko przeżyte, ginące kiedyś w panteistycznym zestroju młodych wrażeń, wracało teraz samotne, jedynie mówiące.

Pędziły z jej głębi tony dzikiego, namiętłego czardasza młodości... Nadchodziły fale od strony życia.

Raz jeszcze wpleść się w koło czarodziejskich złudzeń!... Raz jeszcze napić się z kruży miłości!... Przepalić nerwy na popiół!...

Pochwycił jej piękne ręce i całował.

Zamknęła oczy; zacisnęła powieki i wyobraźnią pieściła jego obraz, plastyczną syntezę jego istoty. — Włosy koloru ciemnego bobra, w które tyle razy zanurzyć chciała ręce z pieszczotą, pragnieniem, powstrzymywane

wysiłkiem rachującej się woli. Siwe, hetmańskie oczy i ten głos, podobny do okiełznanego gromu, niski i miękki, gdy mówił niezapomniane słowa.

Odruchowo wysunęła się z jego objęć.

Logiczny sylogizm mówił, że to, co mija, nie wraca. Z wyrafinowaną więc chciwością przedłużała nastrój oczekiwania.

Była po brzegi wypełniona czemś jaśnym, nowem, długo oczekiwanem.

— Proszę mi co zaśpiewać. Dawno nie słyszałam śpiewu pana.

Niebieskawy świt zwabił ją do drzwi balkonów. Noc już odchodziła, zaczepiona czarnym skrzydłem za uciekający obłok. Z cieniów wynurzały się koronki drzew. Każda rzecz nabierała właściwego wyrazu.

Świt biegł, jak biała tasiemka, ginąca gdzieś na zakręcie. Całuny pajęczyny rozperłonej zwieszały się z krzewów i gałęzi... Drżały liście od porannego chłodu, chwiały się drzewa, jakby zadumane o tem, co się nigdy nie stanie.

W perłowej mgłę płynęły echa rozwianych nadziei, beznamiętne skargi tych, którzy umierają cicho. Snuły się cienie białego snu, odpoczynku tych, co zmęczeni są.

I w ten smutny, sinawy rozbrzask wpadł śpiew człowieczy.

Dźwięki, rzucone w przestrzeń, wracały, zużywając z matematyczną ścisłością siłę energii, która je wyrzuciła.

Wracały bezsilne, chore i drżące, niby zaczepione o ostrze struny.

Dźwięki pękniętej, drogocennej czary.

Drgnęła, jakby uderzona czemś tępem w głowę.

Nie znała tego głosu znużonego, drżącego, rozbitej harfy ludzkiej. Drapieżnie przebiegła oczami po całej postaci śpiewającego, i szyderczy spazm zdławił jej gardło.

Oparty o ramy balkonowe, śpiewa swą pieśń łabędzią człowiek, sterany życiem, siwy, o zamglonych oczach, stary orzeł z połamanymi skrzydłami, śmieszny, wzbudzający litość w tragizmie swej prawdy.

Nie widział stalowych oczu, które spoczywały na nim z szyderstwem, i śpiewał wciąż, tonąc rozmarzonym spojrzeniem w posępnej dali świtu, a głos mu się rwał, brzęczały suche, matowe dźwięki, jak rozekłana szaruga jesienna. Miała wrażenie, że na jej głowie rozbryzgują się lodowate krople deszczu i spływają wzdłuż karku, po ramionach. Dreszcz nią wstrząsał. W myślach zapanował chaos.

Przez chwilę usiłowała sugerować swą odporną samowiedzę, przyzywając znów do pamięci złote mgnienia minionego, ale przed żelaznymi nakazami rzeczywistości pierzchał wir mglistych nastrojów. Świadome spostrzeżenia strącały ją z wyżyn legendy, a obcość i wstręt kopały szybko głębiej między nią a człowiekiem, który żebrał jej miłości.

Kochał i pożądał, ale oto czas spopielił ułudne zewnętrzne szaty, a z niemi jedno z najpiękniejszych kłamstw życiowych, których odwrócone wartości przedstawiały naga, surową prawdę.

Tamten, o włosach ciemnego bobra, był kłamstwem, ułudą, był pozornym światem, nią samą. Odszedł i znikł w cieniu wyobraźni, aby może znów w niej ożyć prawem wiekistego powrotu.

Ten jest jej obcym. Nie zna go. Budzi w niej skomplikowane, nienazwane, złe uczucie. Gubiła się w objaśnieniach, usiłując bezmiennym, wstrząsającym wrażeniem sprowadzić do uczucia logicznego.

Ale cóż wie logika, teoria umówionych znaków, o samowolnych rzutach tajemniczej jaźni ludzkiej? Dusza bez uświadomionej przyczyny wycofuje swoją miarę, siebie samą ze zjawisk, wywołanych gestem jej wyobraźni.

Podniecony rozczarowaniem popęd przyczynowy szukał powodu gnębiących uczuć, któryby jej dał możliwość przyjęcia za prawdę wątpliwych faktów winy człowieka, wabiącego ją pozornym odwróceniem czasu w otchłań cudnej fantasmagoryi.

Ale któż po drodze przyczynowości wyłowi z paszczy najróżnorodniejszych zdarzeń ich zaczątki?

Świadomość jej jakby się rozpękała na dwoje. Dwie różne myśli wiodły dyalektyczny spór. Jedna odrzucała możliwość powrotu tego, co mija, druga, ratując ostatnią życiową iluzję, szukała przelotnego bodaj błysku wiary w zmartwychwstanie minionego.

Śpiew umilkł — i umilkł spór w duszy kobiety. Pochyliła głowę.

Jedynie bogactwo, swoją wolną wolę, zakuła w rachubę, w ramy przyszłości ujęła wzloty rozskrzydlonych pragnień... A ponad tem wszystkiem przeszedł czas i... zadrwił.

W tragicznej pustce myślowej wisiały teraz szmaty jej rojeń, jak poszarpane sztandary na pobojuwisku.

A więc już tak stała poza życiem, że mogła ocenić jego wartość!

Niezmierna tęsknota za tem, co uchodziło, zmięła jej duszę i wnet ustąpiła miejsca nienawiści, która weszła już drapieżnie ofiarę. Przez chwilę milczała, błada, surowa, podobna do stylowego budynku, którego okna płoną jasnym światłem, wówczas gdy wewnątrz panuje grobowa cisza... Włóczą się tajemnicze, groźne cienie tragedii... I straszno tam zajrzeć, i czuje się zasadzkę, i rojno od trwożliwych zakłęb...
Nagle uśmiechnęła się kłamliwie, zalotnie, odzyskując właściwą sobie linię.

— We wspomnieniach zwiedziliśmy dziś piękny grobowiec. Bo i czemże innym są wspomnienia? Ale na świecie nic się nie powtarza, a wszystko, co mija, góruje, jako niezmiennie, nad tem, co dopiero pod znakiem teraźniejszości kroczy. Ale oto świta! Dzień, nieubłagany ironista... Widzi pan jego zwiastuny?... Białe obłoczki. Jasne, niewinne, pokładały się, jak jagniątka, i płyną w bezkres, unosząc wszelkie nieziszczone mary szczęścia, nasze i innych życia.

Nie odpowiedział. W złym głosie wyczuł nieodwołalny wyrok.

— Ja schodzę już z pola. Czuję to. Od dłuższego czuwania miewam newralgię. Doktorzy każą mi prowadzić niezmiernie systematyczny żywot. Iść wcześniej na spoczynek. Tymczasem już ranek. Będzie pan miał jutrzejszą, a raczej dzisiejszą moją migrenę na sumieniu. Pan już odchodzi?... O nie!... Nie żegnam... tylko do widzenia! Na przyszły rok zapewne znów się spotkamy.

Podali sobie ręce, jakby nad wielką przepaścią.

— Serdeczne dzięki za przepiękny miaraż młodości. Wszystko było tak ładne i tak bliskie, że aż prawie... realne. Omal żeśmy nie przyjęli ostatniego za pierwsze. Idyosynkrazia filozofów i... starzejących się — wybuchnęła złym, ślicznym śmiechem, patrząc z chłodną ironią na mocno pobladłego gościa.

A gdy pozostała sama, polały się z jej oczu łzy gorące, rześiste, majowe, ostatnia dań oddalającej się najpiękniejszej wartości życiowej: ułudzie.

ODPOWIEDZI

OD REDAKCYJ.

P. Leszkowi Sz. w Krakowie. Wiersza Pańskiego p. t. „Nie lubię szczęścia” nie możemy zamieścić z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Iz. K. Nie zamieścimy wiersza; są w nim poważne usterki.

P. W. K. Nie skorzystamy, wobec przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Hannie Frydrychs w Lublinie. P. G. Fitelberg nie udziela lekcji prywatnych.

P. Z. H. w Kaliszu. Adres Maryi Konopnickiej: w Żarnowcu, poczta Jedlicze, Galicya. Eliza Orzeszkowa, w Grodnie, dom własny.

P. Edwardowi P. 1) *Lockyer*: Pierwsze początki astronomii (kop. 50); 2) *Flammarion*: Niebo (kop. 60); 3) *Astronomia*, podł. *Flammariona* (kop. 30); 4) *Heilpern*: O ziemi, słońcu i gwiazdach (kop. 60); 5) *Flammarion*: Planety i gwiazdy, krótki opis astronomii (kop. 55).

P. J. Konopackiemu. 1) Najlepiej poinformuje Sz. Pana kancelarya Tow. Zach. Szt. Pięknych, oraz zarząd Bibl. Ord. Krasieńskich (Krakowskie Przedmieście 5); 2) *Marsz ów*, wydany w r. 1831, istnieje, lecz jest zupełnie wyczerpany; można go znaleźć tylko w zbiorach muzealnych.

Anka. Próbką bardzo drobna i, mówiąc szczerze, słaba. Trudno coś na podstawie tego o zdolnościach osądzić.

P. Ksaweremu G. w Kijowie. Wiersza nie wydrukujemy z powodu braku miejsca. Rękopis do zwrotu w Redakcyi.

P. Ad. U. w Krakowie. Z łaskawie nadesłanego wiersza nie skorzystamy: forma za słaba.

P. Gustawowi K. w Krakowie. Fantazyi „Trzech synów” nie wydrukujemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Markusowi B. „W krainie marzeń” to zaledwie rymowanie, a nie poezya.

Nowina. Jak na pierwszą próbę, wiersz wcale a wcale dobry. Drukować go jeszcze nie można, ale radzimy pracować nad sobą; może coś z tego i będzie.

P. A. S. Wiersze poprawne, nawet dość misterne, ale jeszcze nie na poziomie naszych wymagań artystycznych.

P. St. Gotartowskiemu w Sosnowcu. „Nędznicy” W. Hugo wyczerpani; można dostać tylko antykwarycznie w cenie rb. 2.

P. Eugeniuszowi D. Wiersza „L'homme qui rit” nie wydrukujemy z powodu braku miejsca.

P. K. M. „Fragmentu” nie wydrukujemy z powodu niedostatecznie wyrobionej formy stylowej.

Prenumeratorce Tygodnika. Prosimy zwrócić się po informacje i programy do szkoły K. Szulca, gdyż nie wiemy, jakim wymaganiom ma odpowiadać?

P. J. F. z Łodzi. Odpowiadaliśmy już tylokrotnie: album grunwaldzki otrzymają nasi roczni prenumerotorowie w październiku r. b., półroczni i kwartalni po uiszczeniu ostatniej raty prenumeraty rocznej.

Zawiedzionemu. Niestety! „List” zupełnie nie nadaje się do druku.

Agronomowi „Typo de Brzuch”.

1) *R. Sobolewski.* Sposoby hodowania trzody chlewnej (Warszawa, 1874)—cena pierwotna rb. 1.50, można dostać tylko antykwarycznie; 2) *Reis.* Fizyka—cena katalogowa rb. 6—również tylko antykwarycznie; 3) *Fizyka w pytaniach i odpowiedziach*—kop. 65, 4) do anatomii zwierząt następujące podręczniki: a) *Nussbaum.* Zasady anatomii porównawczej, 2 tomy po rb. 4; 6) *Piotrowski.* Fiziologia zwierząt ssących domowych—rb. 235; c) *Urbanowicz.* Zwierzęta pod względem budowy ciała—kop. 25, 5) co do bibliografii naukowej, oczywiście, brak nam miejsca; prosimy zwrócić się do którejkolwiek większej księgarni (np. Gebethnera i Wolffa) z prośbą o nadesłanie katalogów.

M. W. Nadesłane wiersze nie są bez usterek, drukować nie możemy.

Alfredowi. Niestety! ocena wypaść musi ujemnie: utwory bardzo słabe pod względem wiersza, stylu, a nawet gramatyki i pisowni. Do zwrotu za nadesłaniem kosztów przesyłki.

P. F. Kielczykowskiemu. W sprawie stowarzyszenia „Przedświt” najlepiej poinformuje Sz. Pana kancelarya głównej opiekunki i inicjatorce tej instytucji, ks. Maryi Lubomirskiej (Senatorska, 37).

X. Y. Zakopane. Prosimy o cierpliwość. Będzie i drugi wiersz.

Stalej prenumeratorce „Tygodnika Ilustrowanego”. Instytucji, o którą Sz. P. chodzi, nie znaleźliśmy w żadnym przewodniku po Rzymie. Prosimy o bliższe informacje, jakiego to rodzaju zakład, a wtedy może po nitce dojdziemy do kłębka.

P. Janowi Kilińskiemu w Łodzi. Wysoko cenimy w Sz. P. ten pęd do nauki, ale, jeżeli Sz. Pan nie zna języków obcych, trudno to będzie, bo po polsku mamy tylko jeden podręcznik Anczyca: „Farbiarstwo wełny, podręcznik do nauki w krajowej szkole sukienniczej w Rukszawie” (Galicya), Lwów 1898, cena rb. 1, z przesyłką rb. 1.20.

P. Michałowi Jap. w Kłodawie. Nie zamieścimy z powodu usterek formy.

P. Wacławowi Emil. w Krakowie. Nie dla nas. Forma słaba.

P. Z. Pisańskiemu. Powtarzaliśmy już na tem miejscu kilkakrotnie i powtarzamy raz jeszcze, że „Album Grunwaldzki” rozesyłany będzie całorocznym naszym prenumerotorom w październiku r. b.

Black and white. Rysunku Pańskiego „Nokturn jesienny” nie zamieścimy. Do zwrotu.

P. Stanisławowi J. Kozł. Utworów Pańskich nie wydrukujemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Tadeuszowi Pol. we Lwowie. Sonety poprawne. Skorzystać z nich atoli nie możemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Janowi Fryl. w Zakopanem. Prosimy o cierpliwość. Przyjdzie kolej i na Pańskie wiersze. Opóźniają się tylko z powodu nawału materiału.

Mewie. Utwory Szan. Pani zawierają wiele zdrowych i zacnych myśli; pod względem artystycznym atoli nie odpowiadają charakterowi naszego pisma.

P. Stefani Bijejko w Radomiu. Dziękujemy serdecznie za materiał. Prześlemy go autorowi artykułiku „Brak opieki” do właściwego zużytkowania.

„Meteor” w Żytomierzu.

Wyroby żytomierskiej fabryki pierników, utrzymywanej i prowadzonej przez panią Jadwigę Witkowską, dzięki swoim wysokim zaletom cieszą się szerokim rozpowszechnieniem i uznaniem. Na wystawach zeszłorocznych w Ciechocinku i Lublinie za uwzględnienie

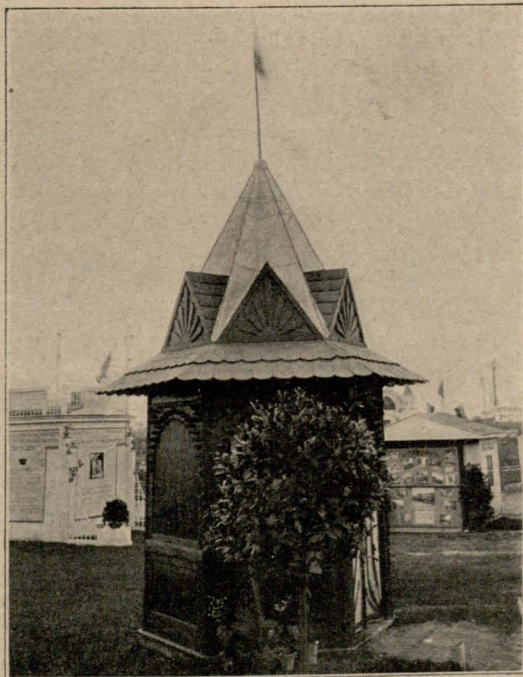
w wyrobach tych wymagań higieny, jak również i smaku, pierniki fabryki „Meteor” otrzymały medale srebrne. Nie mniejszem odznaczeniem produkty pani Witkowskiej zostały nagrodzone na tegorocznej wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie.

Bo zauważyć wypada, iż głównym produktem fabryki „Meteor” są pierniki, ów przysmak, zalecany dla wszystkich bez wyjątku, zarówno dla zdrowych, jak i chorych, dla starców i dzieci. Jeżeli jednak pierniki mają odpowiadać warunkom zdrowia konsumentów, powinny być wyrabiane z miodu prawdziwego, a nie fałszowanego obcymi surogatami. Miód, jak to powszechnie wiadomo, posiada wiele własności leczniczych i odżywczych. Że zaś w handlu zbyt często kursuje pseudo-miód, fabrykowany z różnych syropów, melas, sacharyn i t. p., wartość podobnych pierników musi być oczywiście bardziej niż podejrzana. Wzrozmieniu krzywd, dla zdrowia wyrządzanych przez niesumienne fabrykantów, właścicielka „Meteoru”, pragnąc dostarczać konsumentom pierników bezwzględnie czystych i zdrowych, miód zakupuje wyłącznie u obywateli na Wołyniu, produkuje zaś swoje łakocie nie nowomodnymi sposobami, opartymi na znajomości chemii, lecz systemem naszych prababek, jedynie odpowiednim, bo domowym.

Szczegół powyższy podkreślamy dla zwrócenia uwagi p.p. lekarzy, jak również osób słabowitych, na zalety fabryki wymienionej.

„Meteor” wyrabia również pieczywo kucharzynie, według metod uznanych i ogólnie znanych, a więc chleb wiejski, chleb Kneippa i chleb Grahama, których zalety dyetetyczne i wogóle odżywcze są wogóle stwierdzone.

BEN.



Kiosk fabryki pierników „Meteor” w Żytomierzu, umieszczony przy wejściu do parku na wystawie w Częstochowie.



Kiosk fabryki pierników „Meteor” w Żytomierzu, na wystawie w Częstochowie, przy wejściu na boisko.

Zakłady mleczarskie p. f. „K. Henneberga“.

Przyczynek do rozwoju naszego przemysłu mleczarskiego.

Powracam z oględzin zakładów, które ze względu na rozmiary, oraz sposób urządzenia, zasługują na uwagę ogółu, interesującego się doniosłą kwestią odżywiania się u nas mlekiem i jego produktami.

Zwiedziłem mianowicie zakłady firmy K. Henneberga, zajmujące całą obszerną nieruchomość przy ulicy Koszykowej nr. 25.

Laik, nie wtajemniczony w szczegóły, mógłby sobie wyobrazić, iż przemysł mleczny polega wyłącznie na sprowadzaniu mleka z obór prowincjonalnych, oraz na dostarczaniu go konsumentom w stanie pierwotnym.

Tym, którzy tak sądzą, postaram się zdać sprawę z moich odwiedzin „Mleczarni firmy K. Henneberga“ w sposób możliwie szczegółowy.

Znalazłem się w obrębie obszernego podwórza. Parter frontowy zajmują kantory z buchalterią, kasą i innymi oddziałami biurowymi. Po obu stronach podwórza stoją kilkopiętrowe pawilony o typie gmachów fabrycznych. W głębi mieszczą się stajnie i wozownie.

Zwracam się do mego przewodnika, zarazem współwłaściciela firmy, p. Romana Rekierta.

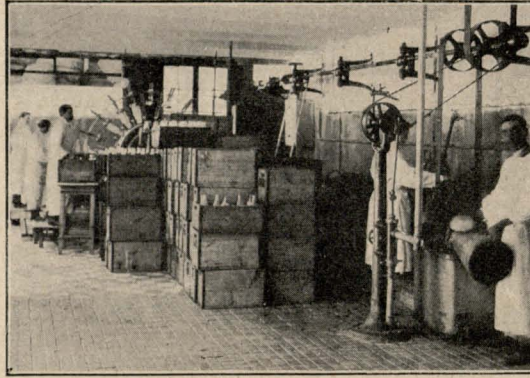
— Od jak dawna istnieją zakłady?

— Założył je w r. 1876 Karol Henneberg ojciec, pionier i działacz na polu rozwoju mleczarstwa. Interes rozwijał bardzo szybko, zakładając mleczarnie i sklepy; główny nacisk kładł na dostawę mleka we flaszkach do domów prywatnych. Przewodzenie mleczarni w owe czasy było przedsiębiorstwem zyskowniejszym i o wiele łatwiejszym. Hy-

licznych aparatów ulepszonych, o czym się pan zechce przekonać.

— Niechże mi pan powie, kto i jakimi drogami popchnął te zakłady na tory dzisiejszego rozwoju?

— Przed dwoma laty wstąpiłem do mleczarni w charakterze dyrektora - zarządzającego — ciągnął p. Roman Rekiert. — Zrozumiałem, iż przemysł, któremu się oddałem, wymaga dostosowania do wymagań postępu. Otóż, objawszy zarząd z końcem 1907 r., zwiedziłem mleczarnie w największych miastach Eu-



Widok na oddziały pompowania mleka, mycia i oczyszczania naczyń.

ropy środkowej, pod kierunkiem znanego specjalisty, p. Adolfa Henneberga, i już wtedy, wspólnie z nim, ułożyłem program reorganizacji naszych zakładów. A teraz pokażę panu wyniki.

Znaleźliśmy się w wielkiej i wysokiej hali, w połowie przedzielonej pięterkiem o konstrukcji żelaznej. Hala ta zawiera maszyny: pompę ze zbiornikiem do podawania mleka na pięterko, dalej, na pięterku pięć zbiorników, podgrzewacz, centryfuga do oczyszczania mleka z naleciałości oborowych. Jest tu jeszcze chłodnia solankowa, doprowadzająca mleko do temperatury $2-4 + C$. Na dole kadź do mechanicznego mycia baniek po mleku wodą gorącą i parą, wielka maszyna rotacyjna do mycia butelek po mleku, kefirze i mleku dla niemowląt, myjąca 1,000 butelek na godzinę, narwaczka na 1,200 but. na godzinę i „kapslarka“ na tę ilość, zamykająca hermetycznie butelki kapslami aluminiowymi, wreszcie oziębiacz do śmietanki. Pod tą hallą w wysokich suterynach widzimy wielką kierznę holenderską do wyrobu masła, wygniatacz do masła najnowszego typu, samoodwracający wygniatacz masła, wielkie lodownie na towar gotowy i składy masła.

Wszystkie te maszyny porusza pomieszczony w suterynie obocznej motor gazowy o sile 12 koni; nieopodal spostrzegamy kocioł stojący do wytwarzania pary, tak potrzebnej w każdej mleczarni postępowej.

Cale to kosztowne urządzenie ma na celu utrzymanie wzorowej czystości, dokładne oczyszczenie mleka (ścianki wewnętrzne centryfugi po oczyszczeniu mleka są pokryte warstwą brudu na $1\frac{1}{2}$ palca), oraz ochłodzenie do minimalnej temperatury, a to dla powstrzymania rozwoju bakterii na możliwie długi okres czasu.

Teraz przechodzimy do prawej oficyny. Znaj-

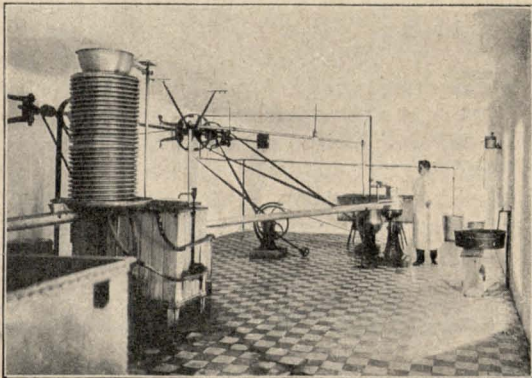
dujemy tu laboratorium techniczno-bakteryologiczne, pod względem urządzenia mogące rywalizować z wiedeńskimi, kopenhaskimi i nawet kieleńskimi. Obok laboratorium urządzono wzorowo dział mleczek dla niemowląt i wyrób kefiru. Dział ten zaopatrzono we dwa sterylizatory i wiele przyrządów do pasteuryzacji mleka. W osobnej ubikacji mieści się cieplarnia dla fermentacji kefiru i mleka bułgarskiego, oraz izba izolowana do przesiewania bakterii. Ściany kamery są pokrywane warstwą gliceryny, do której przyklepiają się bakterie z powietrza a to, dzięki tej procedurze, staje się zupełnie czystym.

Wszędzie, zarówno w laboratoriach, jak i działach mleka leczniczego, oraz samej mleczarni, podłogi są terrakotowe a ściany malowane olejno, biało, lub od góry wapnem. Ścieki, wodociągi i t. p. urządzenia poprostu olśniewają czystością.

Dział lekarski znajduje się pod kierunkiem bakterjologa, d-ra Romana Szpikowskiego, który również rozciąga nadzór sanitarny nad całą mleczarnią, t. j. nad towarami wychodzącym, oraz higienicznością produktów.

Mleczarnia, prowadzona w sposób opisany, zatrudnia pokaźny zastęp pracowników i pracowni i rozporządza taborem, złożonym z 12 koni, 8 furgonów i 4 platform.

Na mieście posiada: 4 mleczarnie, w których produkty są spożywane na miejscu. Mleczarnie są położone przy Al. Ujazdowskich nr. 29 i nr. 8, przy ul. hr. Berga nr. 2 i Rymarskiej nr. 2, oraz sklepy

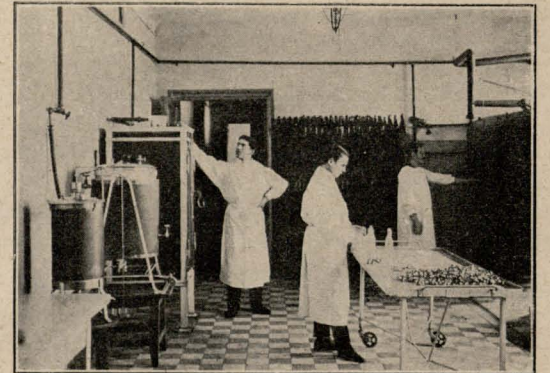


Centryfuga, chłodnia i przelewanie mleka na piętro górne.

giena nie stawiała żądań surowych, jak dziś, o bakterjach wiedziano mało, troszczono się o nie jeszcze mniej. Rola przemysłowca mleczarskiego ograniczała się więc tylko na sprzedaży mleka „czystego“ t. j. precedzonego i nie sfałszowanego. Już zachowanie tych dwóch warunków zapewniało zupełne powodzenie.

— A dzisiaj? — zapytałem.

— W ciągu 33 lat — ciągnął p. Rekiert — mleczarstwo poczyniło olbrzymie postępy, a dzisiejsza mleczarnia wzorowa już nie może istnieć z narzędziami pierwotnymi, jak kadź, sito i narwaczka, ustawionymi w nagiej izbie. Mleczarnia, według wymagań ostatniej doby, musi zajmować stanowisko wielkiej fabryki. Rządzi nią wiedza fachowa specjalistów, którzy pilnują ścisłego podziału pracy, oraz



W laboratorium chemicznym.

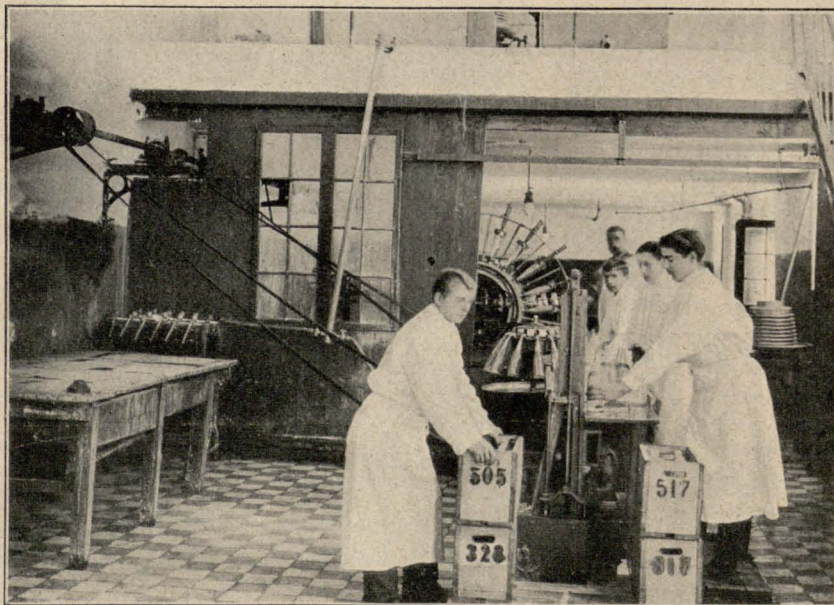
do sprzedaży na zewnątrz: ul. Koszykowa nr. 25 Wspólna nr. 67, Targowa nr. 39a (Praga), Bednarska nr. 6, Solec nr. 79 i otwierany obecnie sklep przy ul. Czerniakowskiej nr. 114a.

Oprócz tego produkty mleczarni p. f. K. Henneberga są do nabycia w wielu sklepach komisowych.

Przy zakładach istnieje nadto fabryka kazeiny z mleka odtłuszczonego, produktu służącego do celów technicznych. Firma stanowi obecnie własność pp. Henryka Koźmińskiego, obywatela ziemskiego, i Romana Rekierta, przemysłowca.

Przy pożegnaniu polecono mi prosić usilnie klientelę zakładów, aby nie przyjmowała butelek nie opieczętowanych kapslami.

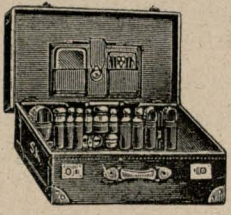
OBSERWATOR.



Rozlewanie mleka, kapslowanie i pakowanie baniek do rozsyłania na miasto



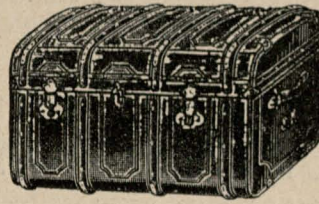
Kantory zakładów firmy „K. Henneberga“, oraz część taboru w podwórzu domu własnego przy ul. Koszykowej 25.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

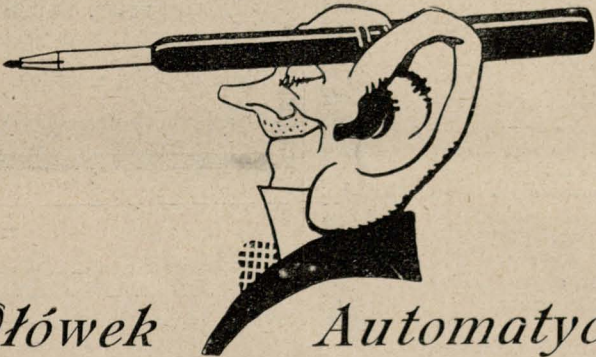
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



„Konik“ Mydło z mleka liliowego

wytwarza różowy, młodociano-świeży wygląd, czystą, białą, jak jedwab
miękką skórę oraz delikatną, ośniewająco-piękną cerę.
Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.



Ołówek Automatyczny

Penkala

WYRÓB KROACKIEJ FABRYKI W ZAGRZEBIU—jest wynalazkiem nadzwyczaj ciekawym, nie wymaga ani TEMPEROWANIA, ani wykręcania. Ołówki kolorowe niebawale CIENKIE I TRWAŁE. ELEGANCKIE proste i nie do zużycia. Do nabycia wszędzie. CENA 50 kop.

Główni reprezentanci na Cesarstwo i Królestwo Dom Handlowy Nachtlicht i Kamiński
Warszawa, Tłomackie Nr 1, Telefon 17-51,

G. G. LARDELLI CUKIERNIE Fabryka Czekolady

Bođuena 5. Nowy-Swiat 27, Marszałkowska 68.

GEBETHNER
i WOLFF
PIANINA I FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św Łazarza.
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentina, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonalizacją. Choroby weneryczne.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWALBE SACH i S^{KA}
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 6717.

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA

Foksal Nr 15.
Telefon 69-80.

Polski Pensjonat
Stefanii Machota

= w JAŁCIE =

dom doktora Lebediewa.
Poleca pokoje z całodziennym utrzymaniem i usługą.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i Lublinie

i G. Gebethner i S-ka w Krakowie

POLECAJĄ OSTATN. WYDAWNICTWA POWIEŚCIOWE:

Berent W. Próchno. Powieść współczesna. Wyd. II e.	2.—
Czyński J. Jakobini polscy. Powieść z r. 1830.	1.—
Gliński K. Złoty Król Jegomości. Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.	1.20
Jaroszyński T. Doktor Tomasz. Powieść.	1.20
Jeleńska E. (Dmochowska). Bociany.—Pantofelki.—Modlitwa Janwigi.—Bajka.—Tryumfator.—Przy lampie.—Znak zapytania.—Przed świtem.—W dzień patrona.	—90
Jeske-Choiński T. Błyskawice. Powieść historyczna z czasów rewolucji francuskiej.	1.50
Kraszewski K. Humoreski.	1.—
Miciński T. W mrokach złotego pałacu czyli Bazylisa Teofanu. Tragedya z dziejów Bizancjum X wieku.	2.50
Ostrowski Nałęcz Stan. Zarzewie. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego.	1.50
Prus B. Dzieci. Powieść.	1.80
Reymont Wł. St. Chłopi. Powieść współczesna: I. Jesień. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato. Cena każdego tomu w ozd. oprawie	1.90
Rodziejewiczówna M. Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości.	1.50
— Dewajt's. Powieść współczesna uwięzioną na konkursie „Kurjera Warszawskiego”. Wyd. 3 cie.	1.—
— Hrywda. Powieść. Wydanie II-gie.	1.—
— Klejnot. Powieść. Wyd. 3-cie.	1.—
— Kwiat lotosu. Powieść. Wyd. III-cie.	1.—
— Rupiecie. Nowele. Wyd. 2-gie poprawione.	1.—
— Straszny Dziadunio. Powieść. Wyd. IV-te.	—60
Sienkiewicz H. Dwie łaki.	1.50
Sieroszewski W. Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacze.	1.80
Urbanowska Z. Wszelchmoci. Kartka wycięta z kroniki miasta powiatowego. Wyd. IV-te 2 tomy.	2.—
Weyssenhoff J. Dni polityczne. Serja II (r. 1905—1906) W ogniu.	1.—
Wypląński Stan. Skalka. Dramat w 3 aktach.	1.—
— Wesele. Dramat w 3 aktach. Wyd. IV-te.	1.60
Zabojcka M. Gromnice. Powieść.	1.20
Zapolska G. O czym się nie mówi. Powieść współczesna.	1.80
— Sezonowa miłość. Powieść współczesna. Wyd II-e	1.50
— Wodzirej. Powieść. Wyd. 2-gie.	1.50
Zbierzchowski K. Literat. Powieść.	1.20
— Malarze. Powieść.	1.20
Zdzlechowksi K. Przemiany. Powieść 2 tomy.	2.—
Żmijewska E. Dola. Powieść. Z przedm. E. Orzeszkowej.	1.60

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

L. Lipiński { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } **Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe.** Firma egz. od 1875.
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, }

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Do Wielu. Z przyczyn natury technicznej, przez 2 tygodnie odpowiedzi nie były zamieszczane. W tym czasie tyle nagromadziło się listów z zapytaniami, że niepodobna z braku miejsca, ograniczonego dla tego działu, dać nawet jak najtreściwszych odpowiedzi, tem bardziej, że nowe napływają. Otóż upraszamy osoby interesowane, aby zechciały nadesłać swoje adresy, a odpowiedzi wyczerpujące będą przesłane listownie i to zupełnie bezinteresownie. Na kopercie dodawać: Dla P. Mercédès.

Janinie z Włocławka. Cebulki włosowe wzmocni natychmiastowo *Tetral*. Jest to płyn wyrobu francuskiej firmy *Tissota*. Włosy myć przedtem mydłem *Alkalicznem Karpinińskiego*. Chcąc włosy nieszkodliwie skędzierzawić, zawiązać należy na noc papiloty, zwilżając wodą lekko ocukrzoną.

N. N. 19. Do twarzy nigdy nie używać gliceryny ani tem bardziej wody utlenionej. *Krem Psyche* te środki skutecznie zastąpi. Szyję wybieli zupełnie krem *Dra Orgley*, wzmocni działanie i przyspieszy skutek mydła *Alkaliczne*. Ciemne plamy w okolicy łokcia usunie płyn *Baume de Bouleau*.

Wdowie ze wsi. *Abaridu* nie trzeba wcierać wata ani żadnym wałkiem, rozetrzeć w dłoniach i palcami wokoło oczu masażować we wszystkich kierunkach i to na noc; w ten sposób postępując, zmarszczki coraz więcej rozchodzą się będą i znikną nareszcie zupełnie, ale zaprzestawać nie należy. Na resztę pytań listownie.

Jadwidze G. Pocóż resztę włosów posiwiać, kiedy daleko łatwiej i praktyczniej siwe doprowadzić do pierwotnego koloru. W wypadku, który Pani opisuje, najpodatniejszą będzie *Hennolina*.

Zosi zmartwionej. Na rozdzwajanie się włosów jest jeden jedyny środek: olejek *Hel*. Smarować według przepisu, a końce przypalać nad świecą. Wągry na poczekaniu wymywa *Pureol*.

Do wszystkich. Wszystkie środki, zalecane przez nas, wysyłają pocztą perfumerye: *Paszowskiego* Marszałkowska 109, i *Perfection*, Szpitalna 10. *Mercédès*.

GABINET

ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra Ludwika Chybczyńskiego

Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie,

Nowo-Sienna № 9 i Krak.-Przedmieście № 15.

w Lublinie, Krak.-Przedmieście № 36.

poleca: Nowe podręczniki szkolne

- Bogucka C. i Niewiadomska C. Nauka Stylistyki**, oparta na przykładach i wzorach z dodaniem koniecznych objaśnień. Klasa IV. Karton. 1.—
- Borowiecka i Statlerówna. Początki geometrii**. Przykłady i ćwiczenia praktyczne. Część I-a. Z 82 rys. w tekście —.35
Część II-a. Z 124 rys. w tekście —.40
- Bruner L. i Tolłoczko S. Chemia nieorganiczna**. Z 77 rysunkami w tekście i tablicą widmową. Wydanie 3-cie, poprawione i uzupełnione przewodnikiem do doświadczeń. *Zatwierdzona przez Warsz. Okrąg Naukowy do użytku szkolnego.* W oprawie 1.80
— **Chemia organiczna**, z 26 rysunkami w tekście. W oprawie 1.80
- Chrzyszczewska J. i Haberkantówna W. Opowiadania przyrodnicze**. I. Staw z 23 rysunkami. —.25
— II. Łąka z 46 rysunkami. —.50
W druku: III. Las. — IV. Pole. — V. Ogród. VI. Rzeka i strumień. — VII. Bagna i moczary. — VIII. Góry.
- Gabszewicz Z. Trygonometria**, podręcznik dla kształcących się w zakresie kursu szkół średnich i zbiór zadań, ze 120 rys. Karton 1.20
- Heilpern M. Krótki wykład fizyki**, w zastosowaniu do potrzeb: rzemieślników, monterów, maszynistów, piwowarów, gorzelanych, uczniów niższych szkół rolniczych, rzemieślniczych i przemysłowych, słuchaczy początkowych kursów technicznych i t. p. Ze 138 rysunkami w tekście. Z polecenia Komitetu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie opracowane. —.85
- Hłasiwetz H., dr. Podręcznik do jakościowej analizy chemicznej do użytku przy praktycznych zajęciach w pracowni chemicznej**. Przełożył z 13-go niemieck. wydania H. Wdowiszewski. —.60
- Okołowiczówna St. i Orsza H. Nasze czytanki**. Książeczka pierwsza, (jesień), z 20 rysunkami. —.15
— Książeczka druga (zima) z 20 rysunkami. —.15
- Sosnowski J. Anatomia i fizjologia człowieka**, podręcznik dla klas wyższych szkół średnich, z 130 rysunkami w tekście. Karton 1.—

Katalogi szczegółowe na żądanie księgarnia wysyła bezpłatnie.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa
w Warszawie:

Modest Maryański

Przewodnik polsko-angiel.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, ułatwie mający stawianie kroków pierwszych w kraju obcym i naukę języka angielskiego z podaniem wymowy i brzmienia każdego wyrazu angielskiego według metody fonetycznej, z dołączeniem niektórych uwag, rad i wskazówek. Wydanie 2. W oprawie rb. 1.20.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

PATENTY
NA
WYNAŁAZKI
„Włodarkiewicz
i Sieklucki”
Włodzimierska 16,
Egz. od 1886 r.
Wł. inż. W. Jakubowski.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN **KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.